**Dziś w numerze:** portret przedmieścia? • K. BADZIAK Oko w oko z Piotrkowem • F. BĄBOL Koziny— • Kolumna poetycka • Dom przy ulicy Skrzywana • Tajemnica homoseksualizmu • Goście

# odgłosy

Wojewódzka Odznaka „Zasłużony m. Łodzi"

17 (510)
27. IV. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

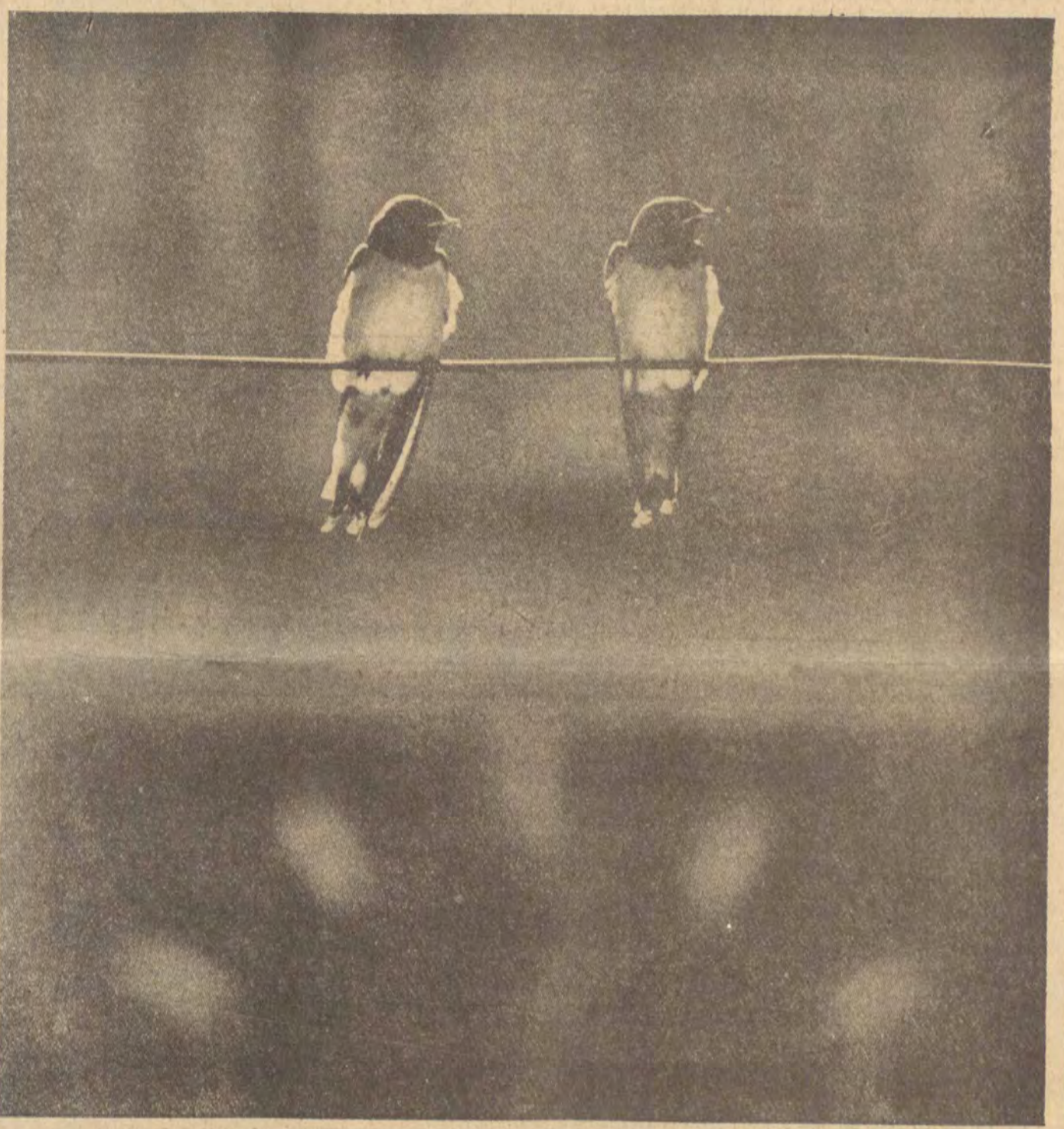

## Problemy 32 TYSIĘCY

**Jest ich w regionie łódzkim 32 tysiące — lekarzy, pielęgniarek, położnych, farmaceutów, personelu pomocniczego i administracyjnego — ludzi znajdujących się w gabinetach lekarskich poradni lecznictwa otwartego, ośrodkach wiejskich, klinikach i prowincjonalnych oddziałach szpitalnych, w ambulansach dentystycznych i w karetkach sanitarnych, przy łóżku chorego w domu opiekuńczym i przy łóżku matki oczekującej narodzin dziecka, przy okienku rejestracyjnym i fotelu dentystycznym...**

Ludzie w bieli. Mamy w stosunku do nich bardzo duże wymagania, my „ubezpieczeni", posiadający prawo do tego, żeby ktoś nieustannie czuwał nad naszym zdrowiem w miejscu pracy i zamieszkania, w domu i w teatrze, w dzień i w nocy, żeby leczył, zapobiegał chorobom i ratował zagrożone nagłymi wypadkami życie. To prawo możemy egzekwować niemal bez ograniczeń a pomaga nam w tym żywiołowy postęp nauk medycznych przekazujący — coraz nowe zdobycze dla codziennej praktyki leczniczej.

Najwyższą rangę ma odpowiedzialność za zdrowie i życie ludzkie, a etyka lekarska precyzuje ową odpowiedzialność słowami: „dobro chorego najwyższym dobrem" Obierając je za punkt wyjścia, reprezentując interesy wielu setek tysięcy mieszkańców Łodzi i województwa, rozmawiać będziemy o interesach... pracowników służby zdrowia W tym pozornie przeciwstawnym ujęciu nie ma nic paradoksalnego, tak jak nie ma rozbieżności pomiędzy interesami zakładu przemysłowego a interesami zatrudnionych w nim pracowników.

Dalszy ciąg na str. 9

# Ogólnopolski Festiwal Poezji

**Po raz czwarty już odbywa się w Łodzi Ogólnopolski Festiwal Poezji, który w roku bieżącym, w przededniu rocznicy XXV-lecia powstania Polski Ludowej, będzie miał znaczenie szczególne. W związku z tym zwróciliśmy się do kilku członków Sądu Konkursowego IV Festiwalu, wybitnych krytyków i poetów o wypowiedź na temat rangi poezji w naszym kraju, najnowszych prądów artystycznych oraz znaczenia festiwali dla polskiego życia literackiego. Nadesłane przez nich głosy publikujemy w przeświadczeniu, że nigdy niewygasły spór o istotę poezji rozgorzeje z całą mocą na sali obrad, gdzie spotkają się twórcy wszystkich pokoleń, a rezultatem tej konfrontacji będą nowe wiersze mocno osadzone w tkance naszego czasu i już choćby przez to bliższe czytelnikowi.**

**STANISŁAW CZERNIK**

Tegoroczny Ogólnopolski Festiwal Poezji jest już czwartym z kolei, staje się więc ważną tradycją życia literackiego. A jako zjazd poetycki niewątpliwie w kraju najpoważniejszy podnosi rangę kulturalną Łodzi. Ma to znaczenie nie tylko dla robotniczego miasta Symptomatyczne i cenne jest choćby to, że impreza o takiej randze organizowana jest systematycznie poza Warszawą, że z tak pomyślnie realizowaną inicjatywą wystąpił ośrodek pozastołeczny.

Tegoroczny Ogólnopolski Festiwal Poezji nie tylko ze względu na zaakcentowany poprzez specjalną nagrodę jubileusz Polski Ludowej. Wśród zespołu jurorów są przedstawiciele kilku pokoleń poetów i krytyków Obala to mity o walce pokoleń. W istocie mamy do czynienia ze współdziałaniem i współpracą różnych generacji ludzi sztuki, co zwłaszcza w odniesieniu do młodych ma znaczenie szczególne. Dzięki festiwalowi uzdolniona młodzież poetycka otrzymuje przecież pomoc w literackim starcie. Tym bardziej że na czele festiwalu stoi Jarosław Iwaszkiewicz, najczynniejszy poeta starszego pokolenia. Ma to wymowę niemal symboliczną.

Wśród członków jury oprócz wybitnych krytyków zajmujących się całokształtem powojennej twórczości poetyckiej są przedstawiciele krytyki młodej i najmłodszej jak Andrzej Lam i Michał Sprusiński. Ich głosy wniosą zapewne wiele nowych wartości.

Nadesłane na konkurs wiersze pozwalają zorientować się, co przynosi najmłodsza poezja Poziom zgłoszonych utworów jest niewątpliwie wyższy, niż w poprzednich latach, cechuje je też większa rozpiętość zainteresowań tematycznych i formalnych.

W wielu wierszach uderza skłonność do zestawień magicznych i mitycznych, odniesienia do takich archetypów jak ptak, ryba, kamień, sól, na co zwrócił uwagę pisząc o najmłodszej poezji w „Miesięczniku Literackim" Michał Sprusiński Ale motywy te, dość licznie jeszcze reprezentowane, już nie przeważają, co może świadczyć o zanikaniu tej tendencji. Pojawiła się natomiast skłonność do motywów antycznych. Często można zauważyć nawiązywanie do naszego baroku. Upatruję w tym oddziaływanie na debiutantów poezji Jarosława M. Rymkiewicza. Godne odnotowania są podejmowane przez nich próby uogólnień filozoficznych.

Dalszy ciąg na str. 3

## ze ŚWIATA

*Czechosłowacja przeżywała kryzys po kryzysie. Przypomnijmy, że w celu wywoływania zakłóceń procesu stabilizacji wykorzystywano i tzw. sprawę Smrkovsky'ego i tragiczną śmierć Palacha, i zwycięstwo hokeistów czechosłowackich nad radzieckimi. Kryzysy pokonywano — jak podkreślił prez. Svoboda — „ze stale rosnącymi trudnościami". Wydarzenia z końca marca stanowiły kulminację. Stało się jasne, że bez podjęcia stanowczych krokow nie uda się zażegnać ciężkiej sytuacji kryzysowej.*

*Z zainteresowaniem oczekiwano więc plenarnego posiedzenia KC KPCz. Było oczywiste, że przynieść ono musi odpowiedź na pytanie: co dalej?*

*Plenum odpowiedziało na to pytanie. Nakreśliło drogi wyjścia z trudnej sytuacji wewnętrznej — postawiło zadanie umocnienia kierowniczej roli partii we wszystkich dziedzinach, przejścia od słów do czynów i jak najwcześniejszego znormalizowania przyjaznych stosunków z krajami socjalistycznymi.*

*Dla realizacji tych celów uznało za niezbędne dokonanie strukturalnych zmian w organach wykonawczych KC — zlikwidowanie Komitetu Wykonawczego Prezydium i wyłonienie nowego składu Prezydium 11-osobowego, a więc znacznie mniejszego liczebnie niż dotychczas.*

*Plenarne posiedzenie, przyjmując rezygnację A. Dubczeka, który następnie rekomendowany został na stanowisko przewodniczącego zgromadzenia federalnego, ogromną większością głosów wybrało I sekretarzem KC — dr Gustawa Husaka. Uzasadniając tę decyzję prez. Svoboda w wystąpieniu przed kamerami telewizyjnymi stwierdził m. in.:*

*„Sytuacja w partii komunistycznej wymaga dziś, aby stanowisko pierwszego sekretarza zajmował energiczny polityk i konsekwentny organizator".*

*W swym pierwszym w nowej roli publicznym wystąpieniu G. Husak otwarcie powiedział, co niepokoi kierownictwo partii. A więc: „najróżniejsze akcje, warcholstwo, demonstracje i inne tego rodzaju rzeczy, które wywołują niepokój w całym naszym społeczeństwie, skierowują myślenie ludzi na drugorzędne problemy".*

*Wszystko to powodowało uczucie niepewności politycznej i społecznej, wywierało niepomyślny wpływ na rozwój gospodarki. Społeczeństwo miało dość tej sytuacji, domagało się zapewnienia mu spokoju i pewności jutra. Niezbędne więc było przejście do działania, zdyscyplinowanie życia.*

*Zwrot następuje więc jedynie w METODACH realizowania polityki, jej podstawa — kierunek postyczniowy, zapewniający demokratyzację społeczeństwa — pozostaje nie zmieniona.*

*Warto to podkreślić szczególnie mocno, ponieważ propaganda zachodnia podszeptuje jakoby w Czechosłowacji miał nastąpić nawrót do okresu sprzed stycznia 1968. W tym celu w skrzywionym świetle przedstawia się osobę Husaka, preparując jego życiorys i eliminując z niego lata 1951—60, które Husak spędził w więzieniu, oskarżony o „słowacki nacjonalizm burżuazyjny".*

*„Kierownictwo naszej partii — mówił nowy I sekretarz KC KPCz w dniu wyboru na to stanowisko — chce w chwili obecnej bardzo ściśle i konsekwentnie realizować program partii, tak, jak zawarty został w listopadowej rezolucji, realizować go, ale równocześnie nader konsekwentnie kłaść nacisk na to, aby naszej wolności, naszych stosunków demokratycznych nikt nie mógł wykorzystywać w sposób zbrodniczy, zakłócać naszego spokoju w państwie i zasłaniać całą naszą drogę naprzód, prowadzić nas ku katastrofie. Jesteśmy przekonani, że kurs taki odpowiada najgłębszym interesom milionowych rzesz naszego narodu w całej republice".*

*Czechosłowacja — można sądzić obecnie pewniej niż kiedykolwiek — wkracza w nowy okres stabilizacji. Do tego też nawołuje odezwa KC KPCz.*

*Z innych wydarzeń minionego tygodnia zwróćmy uwagę na nowe naruszenie przez Stany Zjednoczone suwerennego obszaru Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. Po słynnej aferze ze szpiegowskim okrętem „Pueblo" — na porządku dnia nowa sprawa: szpiegowskiego samolotu EC-121, który po przekroczeniu koreańskiego obszaru powietrznego, został zestrzelony. Samolot, co przyznają niektóre agencje amerykańskie, był wyposażony w skomplikowane urządzenia elektroniczne i miał za zadanie nasłuchiwanie meldunków wojskowych — radzieckich i chińskich zwłaszcza z rejonu niedawnych starć granicznych nad rzeką Ussuri.*

*Tak więc do długiej listy wywiadowczych „wyczynów" USA doszedł nowy „latającego Pueblo".*

*I znowu, jak wówczas, rozległy się w Stanach Zjednoczonych nawoływania do „wojskowej retaliacji" i politycznego wykorzystania faktu zestrzelenia samolotu do wzmożenia międzynarodowego napięcia.*

*Gdyby prezydent Nixon posłuchał tych jastrzębich głosów — z pewnością zablokowałby możliwość rozmów Wschód—Zachód, o których tak wiele mówi. Tym trzeba wyjaśnić jego pewną powściągliwość.*

*W. SŁAWSKI*

# WIOSNA – GIGANT

Tak więc doczekaliśmy się nareszcie wielkiej masowej imprezy kulturalnej — Łódzkiej Wiosny Artystycznej, imprezy o ambicjach przeglądu, a więc w jakimś stopniu i podsumowania dotychczasowego dorobku kulturalnego naszego miasta. Pomysł takiej imprezy kołatał się przez wiele lat, długo nie znajdując realizacji. Myślę, że ten fakt w jakimś stopniu określił jej zasięg: jest bardzo bogata, obejmuje około 60 imprez najróżniejszego rodzaju i charakteru, ma przecież ukazać dorobek, który uciułał się na przestrzeni lat. Zapewne organizatorzy stanęli przed trudnym doborem takiego programu, który by pokazał zjawiska najambitniejsze, najciekawsze, najbardziej wartościowe w tym dwudziestopięcioletnim dorobku. Przy niewątpliwym nawale materiału program zakomponowany na pięć tygodni (od 13 kwietnia do 18 maja) został wybrany na ogół szczęśliwie. Przegląd dorobku środowiska muzycznego, plastycznego, teatralnego filmowego i ruchu amatorskiego uwzględnia pozycje ciekawe i wartościowe. Do tej wielkiej imprezy, której organizatorów jest tak wielu, że nawet ich się nie wymienia, włączyli się dorośli i młodzież, profesjonaliści i amatorzy, środowiska twórcze i organizacje społeczne, wszyscy którym bliskie są sprawy kultury. Będą odbywały się w salach teatralnych, Filharmonii, kinach, muzeach, wyższych szkołach artystycznych, domach kultury, na stadionach i w parkach wreszcie. Obejmą wiele tysięcy ludzi, każdy znajdzie coś interesującego, atrakcyjnego dla siebie.

Będą imprezy lokalne i o charakterze ogólnopolskim jak na przykład Wystawa Tkaniny Unikatowej i Przemysłowej, IV Festiwal Poezji, czy prapremiera opery Romualda Twardowskiego „Tragedyja czyli rzecz o Janie i Herodzie". Będą festiwale i przeglądy: festiwal wokalistów i instrumentalistów małych zespołów kameralnych, festiwal etiud studentów PWSTiF, festiwal małych form scenicznych, festiwal amatorskich teatrów poezji, przegląd zespołów regionalnych Ziemi Łódzkiej i tak dalej i dalej. Trudno byłoby wymienić tu choćby część imprez. Niektóre z nich będą całkiem nowe, inne mają już tradycję w naszym mieście jak Festiwal Poezji, Giełda piosenek i piosenkarzy czy Przegląd teatrów studenckich i robotniczych. Będą odbywać się nie po raz pierwszy, ale nie o to przecież chodzi. Nawet tym „starym" imprezom nowego znaczenia nada fakt zmasowania, zgromadzenia w ramach tej Wiosny — gigantu.

Nie wiem czy wszystkie z tych 60 imprez będą jednakowo udane jednakowo atrakcyjne, niejednakowy jest przecież ich kaliber gatunkowy, ale znowu — nie o to przecież chodzi. Chodzi o to, by Łódzka Wiosna Artystyczna spełniła swoje zadanie, a może raczej zadania, bo widzę ich więcej niż jedno. Niech jak najlepiej pokaże dotychczasowy dorobek kulturalny miasta i regionu, niech na tle tego dorobku wskaże najsłabsze punkty działalności, aby to było wytyczną dla dalszej pracy i sygnałem na co położyć teraz mocniejszy nacisk. Niech wpłynie na ożywienie życia kulturalnego w mieście, nie tylko w ruchu amatorskim, również profesjonalnym. Niech pobudzi ambicje i lokalny patriotyzm w dobrym tego słowa znaczeniu. Niech sprawi by łódzkie premiery teatralne, koncertowe, wystawy były dostrzegane i omawiane również poza naszym miastem. Niech wreszcie — co najważniejsze — będzie to Wiosna pierwsza, ale nie ostatnia, niech nie czekamy na drugą do 50-lecia Polski Ludowej. Niech Łódzka Wiosna Artystyczna stanie się imprezą coroczną. Niekoniecznie w takich rozmiarach, z takim rozmachem, ale niech będzie dorocznym przeglądem osiągnięć każdego lata, jesieni i zimy. Tak, byśmy mogli obejrzeć i usłyszeć na przykład wszystkich laureatów konkursów międzynarodowych, dopóki są jeszcze z nami.

**T. W.**

**ŁODZIANIE W KARYKATURZE**

**JAN HUSZCZA**
**poeta i prozaik**

*Rys. Ibis-Gratkowski*

# WIELKI KONKURS

**Komitet Organizacyjny Obchodów XX-lecia Nowej Huty i Huty im. Lenina, Związek Literatów Polskich — Oddział w Krakowie, Zarząd Wojewódzki Związku Młodzieży Socjalistycznej w Krakowie, Redakcja „Życia Literackiego" oraz Wydawnictwo Literackie — ogłaszają**

**WIELKI KONKURS**
**(OTWARTY)**

**na opowiadanie, wspomnienia i pamiętniki, książkę reportażową lub publicystyczną oraz scenariusz na film fabularny poświęcone dziejom i aktualnej problematyce, jaką wnosi w życie Polski Ludowej największe polskie doświadczenie z zakresu przemian społeczno-ekonomicznych — budowa i rozbudowa Nowej Huty i Huty im. Lenina.**

**W zakresie POWIEŚCI organizatorzy zakładają, iż minimalna objętość utworu winna wynosić 150 stron maszynopisu.**

Nagrody:

I — 50.000.— zł
II — 30.000.— zł
III — 20.000.— zł
5 wyróżnień po 5.000.— zł

W zakresie OPOWIADAŃ organizatorzy ustalają minimalną objętość utworów na 15 stron maszynopisu.

Nagrody:

I — 12.000.— zł
II — 8.000.— zł
3 III nagrody po 4.000.— zł
5 wyróżnień po 3.000.— zł

W zakresie PAMIĘTNIKÓW I WSPOMNIEŃ nie określa się objętości.

Nagrody:

I — 20.000.— zł
II — 12.000.— zł
III — 8.000.— zł
5 wyróżnień po 3.000.— zł

**W zakresie REPORTAŻU lub PUBLICYSTYKI poświęconej problematyce Nowej Huty organizatorzy ustanawiają wyjściową objętość maszynopisów na stron 120.**

Nagroda:

I — 20.000.— zł

W zakresie SCENARIUSZA na film fabularny:

I — 30.000.— zł
II — 20.000.— zł
dwa wyróżnienia po 7.000.— zł

Utwory i prace zaopatrzone godłem (w osobnej zaklejonej kopercie nazwisko i adres autora) należy przesyłać w trzech egzemplarzach pod adresem Związku Literatów Polskich — Oddział w Krakowie, ul. Krupnicza 22.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 15 marca 1970 roku.

**Ogłoszenie wyników w kwietniu 1970, w 100-lecie Urodzin Lenina.**

# LISTY DO REDAKCJI

SZANOWNA REDAKCJO!

Niecodzienna to i przykra sprawa, z którą zwracam się do Was z prośbą o nieco uwagi i miejsca na łamach Waszego poczytnego pisma. Przykra, bo dotyczy niewesołych losów żyjącego w naszym mieście bliskiego krewnego Marii Piotrowiczowej, tej samej, która w powstaniu styczniowym zapisała jedną z najpiękniejszych kart w dziejach Łodzi i regionu.

W ostatnich latach ukazało się szereg publikacji upowszechniających szerszemu ogółowi mało dotąd znane rewolucyjne i patriotyczne tradycje naszego grodu i Ziemi Łódzkiej. Sięgam do jednej z nich, do książki Tadeusza Szewery, noszącej tytuł „O Szekspirze, lwie czarnym i wąsach Reymonta". W reportażu, zatytułowanym "Ostatni gest pani Marii", znajdujemy następującą informację, którą autor czerpie z nr 5 biuletynu Rządu Narodowego, datowanego na dzień 14 marca 1963 r. (str. 137—138). Cytuję w ślad za autorem w skrócie. „Dnia 24 lutego między wsią Dobrem a miastem Strykowem oddział łęczycki stoczył bitwę z przeważającymi siłami moskiewskimi; nasi walczyli z niepospolitą odwagą w lesie, gdzie byli zaatakowani. Poległo naszych 63, pomiędzy nimi pani Marya z Michalskich Piotrowiczowa, matka trojga dzieci, lat 23 mająca, która walczyła obok męża. Bohaterska ta niewiasta nie chciała męża opuścić i w szeregach stanęła obok niego".

Zasługa to niewątpliwa pana Szewery że w sposób frapujący, dostępny dla szerokich rzesz czytelników, opowiada o bohaterce bitwy pod Dobrą, starając się z różnych źródeł i relacji dociec, kim była owa niewiasta, jak wyglądała, jaka była jej najbliższa rodzina. Właśnie w pogoni za bezpośrednimi relacjami odwiedza żyjącego w Łodzi Tadeusza Piotrowicza, artystę rzeźbiarza, wnuka stryjecznego obojga poległych powstańców. (Mąż Marii Piotrowiczowej zmarł w kilka dni po niej, na skutek ran odniesionych w bitwie. Autor reportażu odwiedza artystę w pracowni. Wychodzi z niej pod wrażeniem rzeźb Piotrowicza. Pisze o tym na str. 147". Mroczne pomieszczenie nie może budzić zachwytu, ale odwiedzający tutaj artystę wychodzą zawsze pod urokiem jego rzeźb, a zwłaszcza pełnej ekspresji monumentalnej postaci Ludwika Waryńskiego, który w łańcuchach, lecz z podniesioną głową, wstępuje w bramę twierdzy szliselburskiej".

Losom tego właśnie stryjecznego wnuka Piotrowiczowej chciałem poświęcić nieco uwagi. Poznałem go kilka lat temu i nieraz odwiedzałem w pracowni i mieszkaniu. Jeden z nielicznych ocalałych potomków bohaterskich powstańców, utalentowany, jak pisze Szewera, artysta rzeźbiarz, nie miał się w Łodzi dobrze. Ten nieśmiały, prosty, a przy tym urzekająco dobry człowiek nie umiał walczyć o swoje dzieła. Nie dostawał, zamówień. Ubiegali go inni, ruchliwsi. On klepał biedę. Na dynamiczną rzeźbę Waryńskiego zwrócił uwagę nie tylko Szewera. Pamiętam, że wasze pismo, a także i inne nie szczędziły temu dziełu pochwał. Z tej kampanii prasowej — nie inspirowanej zresztą przez artystę — nic nie wyszło. Rzeźba podobała się, mogła tanim kosztem ozdobić miasto, (artysta nie żądał wiele) i pozostała na swoim dawnym miejscu, w pracowni.

Od kilku miesięcy Piotrowicz znikł mi z oczu. Przestał mnie odwiedzać, nie pokazywał się w mieście, nie było go w pracowni. Zaniepokojony tym złożyłem mu wizytę w mieszkaniu. Okazało się, że od dłuższego czasu choruje. Siedział przede mną wynędzniały, z trudem kryjący swe cierpienie pod ciepłym serdecznym uśmiechem. W ciemnym, wilgotnym, wciśniętym w kąt podwórka studni, parterowym pokoju jaki artysta wraz z żoną zajmują przy placu Dąbrowskiego 4, choroba postępuje z dnia na dzień. Lekarze przyrzekają poprawę, jeśli przeprowadzi się do jasnego słonecznego pomieszczenia. Za wstawiennictwem Liceum im. Marii Piotrowiczowej obiecano wprawdzie małżonkom zamianę mieszkania, ale sprawa toczy się powoli zbyt wolno, jak na postępującą chorobę. Czy nie można jej przyśpieszyć? Czy rzeźbiarz, jeden z nielicznych potomków bohaterki spod Dobrej nie zasługuje na więcej uwagi? On i jego dzieła?

Bohaterom narodowym wznosimy pomniki, wzruszają nas nieraz kamienie — ruiny, niemi świadkowie tragedii narodowej. Otaczamy je kultem. I słusznie. Ale czy należy przy tym zapominać o żyjących spadkobiercach padłych w szlachetnym zrywie powstańczym bohaterów? Zwłaszcza gdy są to ludzie chorzy i niezaradni. Osądźcie sami.

A. P.

(nazwisko i adres znane redakcji)

# OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL POEZJI

## Dalszy ciąg ze str. 1

Inni autorzy w sposób wyraźny nawiązują do twórczości Ernesta Brylla, cytują go bez mała, często jednak popadają przy tym w turpizm. Dosyć często pojawia się nowy motyw — motyw matki. Rzadziej spotkać można w konkursowym zestawie

wiersze autotematyczne, wiersze o pisaniu wierszy. Również autentyzm jest słabiej reprezentowany.

Jak widać z tego zestawienia, utworów rewelacyjnych może konkurs nie przyniesie, ale wiele z nich zasługuje na wyróżnienie wysokimi nagrodami.

### ANDRZEJ LAM·

Znaczenie konkursów i festiwali poetyckich? Odnoszę wrażenie, że na ogół maleje. Krytycy skarżą się na inflację debiutów, które mijają bez echa, publiczność nie wykazuje większego zainteresowania dla najmłodszej poezji — i chyba nie dzieje się to bez winy samych poetów. Rozwoju ilościowego poezji nie trzeba więc obecnie pobudzać; proces ten dokonuje się samoczynnie, niezależnie nawet od rezultatów. Potrzebna jest natomiast refleksja nad poezją, uporządkowanie naszego gospodarstwa poetyckiego ostatniego ćwierćwiecza, ustawienie drogowskazów czytelnych dla miłośników pięknego słowa. Czy można bowiem uznać za normalną sytuację, kiedy istnieje mnogość konkursów, a nie ma na rynku ani jednej antologii poezji współczesnej? kiedy odczuwa się brak słowników, informatorów, przewodników? Stąd też i festiwale poetyckie powinny się do-

stosować do nowych zadań, wynajdując formy odpowiadające oczekiwaniu społecznemu. Nie wystarczy mieć dobrą poezję; trzeba umieć, jak każdy towar, ładnie i mądrze podać ją czytelnikowi. Podoba mi się obyczaj Kłodzkiej Wiosny Poetyckiej, kiedy poetów czci się oracją — pisanie o poezji też odbywa się w obrębie jakiejś poetyki, a związki między poezją i retoryką są bardzo stare. Cenna jest też inicjatywa Łódzkiej Rady Narodowej i tutejszego oddziału Związku Literatów Polskich, aby obok tomu poezji wyróżniać nagrodą eseje poezji poświęcone. No i aby refleksje nad poezją powierzać krytykom wytrawnym i doświadczonym. To przecież właśnie z łódzkiej trybuny przemawiali do poetów i czytelników Błoński, Sandauer, Jakubowski, Kwiatkowski... Łódź umiała wytworzyć atmosferę życzliwą dla poezji, ale przecież nie pobłażliwą. I to jest droga właściwa: stawiać poezji wysokie wymagania, zgodnie z wrażliwością własnego środowiska.

### RYSZARD MATUSZEWSKI

Poezja na dzisiejszym rynku czytelniczym może się wydawać, biorąc pod uwagę jej znikome nakłady, kopciuszkiem, lekturą zamkniętego klanu hobbystów. Byłoby jednak niebezpieczne, gdybyśmy chcieli ulec temu złudzeniu. Doświadczenia poetyckie leżą u podstaw idei nowatorskich w literaturze naszego wieku. Poezja stanowi swoiste laboratorium form i szkołę wyobraźni, które promieniują na inne gatunki literackie i w ogóle na rozwój sztuki. Większość źródeł zjawiska, które określane bywa czasami jako wielka przygoda intelektualna sztuki XX stulecia, to źródła poetyckie.

Poezja stanowi zazwyczaj pierwsze wtajemniczenie młodych adeptów literatury. Nie wszyscy przy niej zostają, ale większość od niej zaczyna i przez jej urzeczenia przechodzi. Fascynacje młodości mają zazwyczaj to do siebie, że nie ograniczają się do przeżyć indywidualnych. Szukają dla siebie potwierdzenia w przeżyciu zbiorowym. Stąd popularność, a także znaczenie różnych form zbiorowego przeżycia sztuki, stąd określona rola festiwali, konkursów, poczynań grupowych i wspólnych wystąpień młodych poetów oraz środowiska, które się wokół młodych artystów tworzy. Jest to chyba zjawisko normalne w społeczeństwie, w którym dokonuje się jakikolwiek ferment kulturalny.

Festiwale poetyckie organizowane w różnych ośrodkach kulturalnych naszego kraju są potrzebne, dają bowiem z pewnością jakieś ujście autentycznym pragnieniom i ambicjom, pozwalają młodym twórcom sprawdzić własne możliwości. Dobrze jest, jeśli pobudzają uczestników do pewnego in-

telektualnego wysiłku, do określenia własnych postaw. W świecie cywilizacji współczesnej, którą znamionuje łatwość przekazywania wszelkich doświadczeń, choćby przez mass-media, silniej niż w epokach minionych odczuwa się groźbę eklektyzmu. Stąd szczególne znaczenie, jakie ma dla młodych sprawa artystycznego samookreślenia, jakiegoś własnego programu i walki o jego realizację. Jeśli festiwale, manifestacje młodych poetyckich ugrupowań, zbiorowe dyskusje itp. mają mieć jakiś sens, to powinny one stać się terenem ścierania się autentycznych i różnorodnych poglądów na sztukę.

Ugruntowanie tradycji festiwalów poetyckich w Łodzi wydaje się ważne dla rozwoju młodego środowiska literackiego w tym mieście. Ważne jest też dla kraju, aby Łódź była autentycznym centrum kulturalnym. Zalążki dobrych tradycji walki o nową sztukę i ambitnych w tej mierze poczynań istnieją w Łodzi nie od dziś. Wystarczy wspomnieć tradycje międzywojennej Sceny Robotniczej, grupy „a. r.", czy też powstanie, w Łodzi właśnie, pierwszego w Polsce Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Po wojnie w Polsce Ludowej, przeszedł przez Łódź także niejeden ożywczy prąd, zapładniający i pobudzający artystyczne ambicje. Nie tylko przy tym w pierwszych latach po wyzwoleniu, kiedy Łódź była dla wielu „tranzytową stolicą", ale i później, wśród młodych poetów, wykluwały się tu świeże i twórcze pomysły. Łódź nie jest, gdy chodzi o inicjatywy kulturotwórcze, miastem „łatwym", bakcyl sztuki nie lęgnie się tu tak bujnie, jak np. w omszałych murach Krakowa, ale przezwyciężanie trudności winno być dodatkową podnietą. Łódź, drugie co do wielkości miasto w Polsce, nie ma prawa być kulturalną prowincją...

Pomysł nagrodzenia w tym roku, podczas festiwalu w Łodzi, najwybitniejszej książki poetyckiej 25-lecia uważam za ryzykowny. Najlepszy tom poetycki roku można bez takiego ryzyka, choć czasem nie bez trudu, wybrać i werdykty uzgodnić. Ćwierćwiecze — to okres zbyt wielu zmiennych fluktuacji artystycznych i zbyt wielu niewspółmiernych, choć bezsprzecznych osiągnięć, abym potrafił wyobrazić sobie kryteria umożliwiające jednoznaczny wybór dzieła poetyckiego, które jakiekolwiek grono jurorów uznałoby za bezapelacyjnie dystansujące dzieła inne. W takim przekroju czasu liczą się już nie pojedyncze książki, ale osobowości, dzieło ich życia. A spośród najwybitniejszych poetów tego okresu — iluż nie żyje! Staff, Tuwim, Broniewski, Gałczyński... Dzieł autorów żyjących nie ośmielałbym się też hierarchizować, skoro reprezentują często zupełnie odmienne szkoły, style. Spór o wybór dzieła może w tym wypadku stać się zwykłym sporem o pryncypia, o gusty artystyczne, w którym wszelkie argumenty zawodzą.

### MARIAN PIECHAL

Poezja od zarania dziejów odgrywała zawsze wielką rolę. Tym większą, im dyskretniejszą. Tym trwalszą, im subtelniejszą. Była obok języka najistotniejszym spoidłem społecznym. Język zespalał ludzi ze względu na ich doraźne konkretne potrzeby życiowe — poezja tworzona za pomocą tego języka zespalała ludzi ze względu na ich odwieczne spontaniczne potrzeby duchowe — była ewolucyjnym wynikiem ich wyobraźni, początkiem ich intelektu, krótko mówiąc, była źródłem dalszego rozwoju ich kultury. Tę rolę społeczną, oczywiście bardziej złożoną, bo zmodyfikowaną przez swój wielowiekowy rozwój, pełni poezja także i dzisiaj. Wystarczy uświadomić sobie jej rolę w okresach wojen, przełomów socjalnych i rewolucji, gra wtedy rolę katalizatora. Jest czynnikiem przyśpieszającym przemianę procesów społecznych. Poezja wtedy staje się głośna, poeci dochodzą do głosu — zostają nawet ministrami, premierami, wodzami ruchu; dość wymienić nazwiska Dantego, Wiktora Hugo, Lamartine'a, Goethego, Byrona, Mickiewicza. W czasie pokoju rola poezji jest mniej zauważalna, bardziej dyskretna, niemniej równie głęboko i skutecznie urabiająca wrażliwość ludzką, działająca na rzecz społecznych przeobrażeń, zmiany obyczajów i praktycznego w konsekwencji postępowania. Dlatego wszelkie ideologie społeczne i polityczne prawdziwie postępowe doceniają znaczenie poezji i zawsze wiążą z nią ogromne nadzieje jako ze skutecznym czynnikiem postępu i rozwoju kulturalnego. Wymownym przykładem tego może być różnica w stosunku do poezji i jej twórców na Zachodzie i u nas: w krajach kapitalistycznych traktuje się poezję jako jedynie przedmiot rozrywki kulturalnej i handlu, zaś w krajach demokracji ludowych jako dominujący czynnik kultury i niezbędnej potrzeby w życiu duchowym człowieka.

W naszym kraju wraz z poszerzaniem się i pogłębianiem kultury w skali masowej znaczenie społeczne poezji wzrasta i skuteczność jej na praktyczną działalność człowieka staje się coraz bardziej zauważalna i doceniana. Wydaje mi się, że już niedługo potrzeba obcowania z poezją stanie się zarówno indywidualnym jak i zbiorowym nawykiem, organiczną niejako potrzebą duchową podobnie jak dziś już u wielu ludzi potrzeba chodzenia do teatru, do kina, słuchania radia czy oglądania telewizji.

Wśród liczniejących z każdym rokiem imprez poetyckich w Polsce łódzki Ogólnopol

ski Festiwal Poezji jest najpoważniejszy — tak ze względu na swój zasięg jak i najbardziej wszechstronną treść. To przecież nie tylko konkurs na najlepszy wiersz, ale i nagrody za najbardziej dojrzałe osiągnięcia twórcze w poezji oraz za najbardziej wnikliwe odczucie, zrozumienie i skomentowanie tych osiągnięć poetyckich, a przede wszystkim żywa dyskusja, bezpośrednia wymiana i konfrontacja zdań, opinii, wrażeń i postaw krytycznych samych twórców i aktualnych odbiorców poezji. Wydaje mi się, że ten moment — moment dyskusji — jest w każdej takiej imprezie poetyckiej najważniejszy. Te dyskusje, w których na łódzkich festiwalach poezji zabierają głos najwybitniejsi twórcy, krytycy i miłośnicy poezji, nadają im właśnie tę najpoważniejszą w kraju rangę.

### ARTUR SANDAUER

Pisze się u nas za dużo wierszy. Mimo to — od okresu październikowego, kiedy debiutowali Białoszewski i Herbert, a Szymborska wydała swój zbiór przełomowy „Wołanie do Yeti", nie mamy godnego uwagi zjawiska — z wyjątkiem może Brylla, który potrafił się narzucić uwadze publiczności. Pokolenie, które nadchodzi, to generacja estetów i stylizatorów, którzy wykręcają się sianem od zajęcia określonego stanowiska. Postawa „turpistów" — jak określa się za Przybosiem pokolenie 1956 r., była o wiele wyraźniejsza. Jest w nich jakiś kult szpetoty, jakaś potrzeba samooszpecenia się w oczach czytelnika, która jest chyba reakcją na okres miniony, rozrachunkiem z przeszłością. Jeśli o pokolenie nadchodzące chodzi, nie dostrzegam jeszcze wyraźnie jego indywidualnych rysów — tym bardziej że — prócz Krzysztofa Gąsiorowskiego, który ma ambicje teoretyczne — nie wyłoniło ono jeszcze swego krytyka.

Na razie w konkursach łódzkich nie udało nam się jeszcze wyłowić ani jednego wielkiego talentu. Uwagę moją w zeszłym roku zwrócił Witold Maj z bardzo udanymi stylizacjami barokowymi: ale były to właśnie stylizacje.

### KAZIMIERZ WYKA

Dla obecnego stanu polskiej poezji charakterystyczna jest, utrzymująca się już od lat kilkunastu, różnokierunkowość jej rozwoju. Dlatego też trudno byłoby mówić o tendencjach wiodących albo szkołach. Ale nie ulega wątpliwości że największy wpływ na język i wyobraźnię nowej poezji wywarła tradycja awangardy krakowskiej. Równocześnie mamy ciekawe próby odwoływania się do polskiego klasycyzmu, baroku i tradycji norwidowskiej. Jest to dowodem dużej swobody działania poetyckiego. Zresztą doskonałym potwierdzeniem tej sytuacji są choćby materiały zgłoszone na łódzki festiwal do konkursu na wiersz, gdzie spotykamy niemal pełny przekrój tych poszukiwań najmłodszej poezji.

Ale właśnie w związku z tym festiwalem nasuwa mi się tego rodzaju refleksja: jest chyba zjawiskiem bardzo korzystnym, że podobne imprezy odbywają się poza tradycyjnymi centrami kultury, poza Warszawą i Krakowem. Służą one w ten sposób szerokiej aktywizacji ruchu literackiego w całym kraju i już choćby dlatego zasługują na uwagę. A przecież to zaledwie

jedna strona tego problemu. Bo jednocześnie festiwale przyczyniają się do rozbudzenia zainteresowań współczesną poezją w skali społecznej. A przy tym stwarzają biorącym w nich udział twórcom szansę wymiany poglądów na tematy ściśle literackie: są właściwie jedyną okazją konfrontacji programów artystycznych, gdyż nasze czasopisma kulturalne rzadko podejmują na swoich łamach tego typu problematykę. Warto wspomnieć wreszcie o debiutantach, którzy w powodzi wierszy, jakie są publikowane w prasie, rzadko potrafią zwrócić na siebie uwagę czytelnika. Niewątpliwie zaś debiut powiązany z sukcesem konkursowym ma dla najmłodszych poetów duże znaczenie.

*Józef Wasiołek — „Uliczka" (olej)*

**Miasta dzielę na takie, w których chciałbym spędzić emeryturę, takie w których chciałbym spędzić dzieciństwo, takie w których chciałbym mieszkać obecnie i na takie, w których chciałbym spędzić kilka godzin, wyjechać i nigdy nie wrócić. Piotrków mi się jakoś z tego podziału wymyka. Ma w sobie niewątpliwy urok, którym przyciąga, ale i trochę pretensjonalności. Uroku oczywiście ma więcej. Przechowuje z pietyzmem ślady dawnej świetności, nawet cienie śladów dawnej świetności, co nie przeszkadza mu — rzecz jasna — dbać o dzień dzisiejszy i pamiętać o przyszłości.**

KAROL BADZIAK

# OKO W OKO Z PIOTRKOWEM

Mało miast w Polsce ma tak bogatą przeszłość. Historia determinuje charakter Piotrkowa, tradycja decyduje o jego obecnej reputacji. Mało miast w Polsce ma tak dobrą reputację. Dbają o nią piotrkowianie, których talent, zdolności i aspiracje wyniosły do stolicy kraju, lub stolicy województwa, albo gdzie indziej. Zakładają tam koła przyjaciół swego rodzinnego miasta, szerzą o nim wiedzę, popularyzują, pomagają w miarę swych możliwości. Jest to kumoterstwo konstruktywne.

Swego czasu ktoś rzucił hasło — Bugaj. Bugaj to bajorko podmiejskie. Postanowiono z tego bajorka stworzyć jezioro, pogłębić, spiętrzyć wodę i utworzyć ośrodek sportów wodnych. Znany hydrolog, prof. Balcerski z Politechniki Gdańskiej, został w czynie społecznym na Tysiąclecie stałym konsultantem od zagospodarowania Bugaju. Choć bowiem od dawna mieszka w Gdańsku, pozostał przecie patriotą piotrkowskim.

W mieście pojawił się wtedy afisz: „...Zwracamy się do wszystkich, którzy kochają swoje miasto, Ziemię Piotrkowską, i pragną w niedalekiej przyszłości oglądać dokument swego trudu... etc.

Pierwszy sekretarz i przewodniczący Prezydium udali się do Warszawy i tam przekonali kogo trzeba, że inicjatywa jest słuszna, pożyteczna, otrzymali pomoc i finanse. Rezultat tej ekskursji w postaci Parku Kultury i Sportu można już dziś częściowo oglądać na miejscu.

Jest tajemnicą gospodarzy tego miasta w jaki sposób Piotrków otrzymał szpital, jeden z najlepszych w województwie, kino panoramiczne „Hawana" — jedno z najdroższych w województwie. Piotrków ma ambicje iście europejskie, czego widomą oznaką jest sławny lokal gastronomiczny „EUROPA". Gospodarze innych miast naszej pięknej Ziemi Łodzkiej mają nieraz za złe piotrkowianom ich przedsiębiorczość i umiejętność w załatwianiu różnych spraw w stolicy kraju, nieraz nawet podobno z pominięciem stolicy województwa. Jako przykład podają, że Piotrków już przed wojną był jednym z pierwszych, który potrafił sobie w Warszawie załatwić budżet na budowę kanalizacji, nawierzchni ulic, oświetlenia i gazu. Nie wszystkim wiadomo iż dokonano tego w oparciu o pożyczkę, której bodajże do dziś nie spłacono.

Zapobiegliwość ta stała się, niestety, dla Piotrkowa dość pechowa. Przy rozdziale i planowaniu inwestycji komunalnych Piotrków był przez wiele lat pomijany. Dziś np. miasto cierpi z tego powodu na brak wody. Powstało wiele nowych osiedli (na marginesie — nie najładniejszych), których mieszkańcy wodę z kranu widzą tylko nocą. Chomikują ją w wannach, miskach, wiadrach. W dodatku niektóre nowe bloki nie mają centralnego ogrzewania.

Najbardziej nieudane jest osiedle Wyzwolenie. Wybudowane sporo lat temu, po dzień dzisiejszy jest nieuporządkowane. Tchnie smutkiem, brzydotą i brudem. Wokół domów brak zieleni, trawników, klombów. Klatki schodowe zanieczyszczone, zdewastowane. W sumie nie przynosi ono zaszczytu władzom miasta a i lokatorom wystawia kiepskie świadectwo.

Starówka piotrkowska jest natomiast zupełnym przeciwieństwem szpetnego osiedla. Odnowiona z pietyzmem cieszy oko pięknem architektury i barwą. Na tutejszym rynku szukano niegdyś śladów dawnego ratusza. Rynek rozkopano i ślady znaleziono. Nie natrafiono niestety w żadnym wysokim urzędzie na ślad pieniędzy przy pomocy których można by z tamtych śladów wyczarować nowy — stary ratusz. W oczekiwaniu więc na lepsze czasy odkopane zabytki ponownie zakryto, teren wyrównano, uporządkowano, wytapetowano kamiennymi płytami. Na płytach postawiono kwiatki.

Jeszcze Łodzi na świecie prawie nie było, a Piotrków już był wielkim miastem. Odbywały się tutaj piastowskie zjazdy, sejmy, sejmiki, religijne synody, działał trybunał. Był więc Piotrków jednym z głównych ośrodków życia państwowego dawnej Rzeczypospolitej. Coś się zawsze z tej wielkości zachowało nie tylko w pamięci. Dziś choć jest Piotrków miastem powiatowym spełnia wielorakie funkcje wojewódzkie. Nie da się ukryć, że faktycznie jest miastem promieniującym na cały region, daleko poza granice administracyjne powiatu. W Piotrkowie mieszczą się: Ośrodek Sądu Wojewódzkiego dla Bełchatowa, Radomska, Tomaszowa. Sąd dla Nieletnich, Bank Rolny, Prokuratura, PKO, PZU, szkolnictwo tutejsze spełnia służebną funkcję wobec innych miast położonych w tej części województwa, szczególnie Bełchatów sprzężony jest wieloma więzami z dawną swoją powiatową stolicą.

Miejscowi z dumą powiadają, że co prawda Piotrków jest miastem powiatowym, ale na wojewódzkim szczeblu. Prawdą jest niewątpliwą, że w koronie starych miast polskich Piotrków błyszczał gwiazdą niepoślednią bo i starostwem grodzkim był i miastem gubernialnym był. Jeszcze pod koniec XIX wieku miał 13 restauracji i garkuchni. 52 szynki i bawarie, 3 cukiernie, 1 dom publiczny, 1 teatr i 6 hoteli, które się anonsowały: „urządzone z komfortem wanny, łaźnia parowa", „prysznice w każdym czasie", „służba włada obcymi językami", „klozety urządzone podług nowoczesnych wymagań".

Z 6 hoteli ostały się jeno dwa: „Krakowski" i „Centralny". Nie ostał się próbie działania czasu ani teatr ani ów dom zdrożny. Z dawnych czasów pozostały jedynie wozownie, patrycjuszowskie kamienice, dworzec drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej oraz klasztory. Przed dwoma laty na drzwiach świątyni spotkałem napis: „o łaskach doznanych z przyczyny E. Bojnowskiego — prosimy informować Siostry Służebne".

Ruchliwi na wszystkich frontach są ci piotrkowianie. Kiedy jedni zabiegają w stolicy kraju o beatyfikację całego miasta, inni w Stolicy Apostolskiej zabiegają o beatyfikację choć jednego mieszkańca. Świeccy mają chyba lepsze wyniki. Piotrków może się poszczycić jednym z najwyższych odznaczeń państwowych — Orderem Sztandaru Pracy I Klasy.

Na order ten zasłużyła przede wszystkim piotrkowska klasa robotnicza ze znanych w kraju i za granicą hut szkła oraz z fabryki maszyn górniczych i innych, zasłużyła swą pracą i patriotyczną postawą. Na progu tego ćwierćwiecza walka klasowa w Piotrkowie miała przebieg dość ostry i zawzięty, pochłonęła wiele ofiar. Nazwiska tych co zginęli w walce o władzę ludową mieszczą się na tablicy pamięci. W ciągu 25 lat Polski Ludowej charakter Piotrkowa uległ zasadniczym zmianom. Z miasta administracyjno-handlowego stał się Piotrków przede wszystkim miastem przemysłowym. Z miasta emerytów i drobnomieszczan przeobraził się w miasto dominującej klasy robotniczej. Ogółem w 60-tysięcznym Piotrkowie czynnych jest 69 zakładów produkcyjnych. Wartość produkcji przemysłowej wytwarzanej przez tutejszy przemysł jest dziś dziesięciokrotnie wyższa niż przed wojną. Wybudowano w ostatnim czasie ok. 5 tys. nowych mieszkań, w których mieszka jedna trzecia ludności miasta.

Równocześnie z dynamiką rozwoju gospodarczego idzie w parze dynamika rozwoju kulturalnego. Obok oczywistego rozkwitu całej oświaty nastąpiły korzystne zmiany także w samym profilu szkolnictwa. Rozwój przemysłu spowodował naturalny rozwój szkolnictwa zawodowego. Oprócz trzech liceów ogólnokształcących, z których szkoła im. Bolesława Chrobrego ma za sobą 200 lat tradycji, powstało szereg liceów technicznych jak Szklane, Ekonomiczne, Budowlane, Drogowe, Mechaniczne, Pielęgniarstwa i inne. Ponadto Studium Nauczycielskie i filia Politechniki Łódzkiej.

No i to co Piotrków wyraźnie wyróżnia spośród innych miast: czytelnictwo. Piotrków jest najbardziej rozczytanym i oczytanym miastem w kraju. Wszystkie biblioteki tutejsze prowadzone są starannie, utrzymane wzorowo. Ale Miejska Biblioteka najlepiej. Mieści się w świetnie zaadaptowanym lokalu. Tak pięknej biblioteki nie ma ani w Łodzi, ani w innym z miast województwa łódzkiego. Jeśli już o książkach mowa to znajdują się w Piotrkowie dwie biblioteki unikalne. Przy PTTK najbogatsza w kraju biblioteka książek o tematyce turystycznej i krajoznawczej oraz biblioteka poświęcona dramaturgii i książkom o teatrze przy Domu Kultury. Dom Kultury i Dom Nauczyciela stanowią dwie najaktywniejsze placówki upowszechniające kulturę w mieście. Są również najlepiej urządzonymi i wyposażonymi obiektami tego typu w województwie.

Piotrków ma to do siebie, że jeśli już coś ma, to lubi mieć najlepsze. I słusznie, łagodna megalomania zwłaszcza w sferze kultury ma swój wdzięk. Przykrą plamą na kulturalnym słońcu Piotrkowa jest tylko Muzeum Regionalne. Restauracja zamku królewskiego, w którym to Muzeum znajdzie swą siedzibę, trwa stanowczo zbyt długo. Jest to już wyłącznie osobista wina ojców tego miasta, skądinąd jak wiadomo bardzo energicznych i przedsiębiorczych. Widocznie nie doceniają w pełni kulturotwórczej roli i rangi tej instytucji. Obiektywnych przyczyn było na pewno wiele, ale w tym roku podobno zostanie ono udostępnione już publiczności.

Oczytany jest Piotrków, kulturalny, teatralny, choć teatru swego nie ma. I wysportowany. Concordia w III lidze. Mimo wieloletnich wysiłków do drugiej ligi nie może dotrzeć. Niestety, to nie Śląsk, dziś trzeba mieć kopalnię węgla, żeby mieć kopalnię pieniędzy na sport i... sportowców. Zawodnicy drożeją. Piotrków pociesza się szachami. Co trzy lata odbywa się w tym mieście jedyna w swoim rodzaju impreza: międzynarodowy turniej szachowy kobiet. Imprezie patronuje sam I Sekretarz.

Piotrków nie ma w sobie nic z typowych znamion prowincji. Ot wykrojony kawałek Łodzi i kawałek Krakowa i umieszczony w Piotrkowie. Miasto leży w zasięgu oddziaływania dwóch potężnych ośrodków kulturalnych — Łodzi i Warszawy. Dogodne połączenie komunikacyjne z wielkimi miastami spełnia ważną rolę społeczną. Z Warszawą połączenie jest nawet dogodniejsze. Czytelników prasy warszawskiej jest tutaj więcej niż czytelników prasy łódzkiej. Pod względem czytelnictwa prasy łódzkiej Piotrków znajduje się dopiero na piątym miejscu w województwie. Dane te są sprzed paru lat, ale nadal chyba z małymi zmianami aktualne.

Czy to dobrze czy to źle? Jak dla kogo.

TERESA WOJCIECHOWSKA

# NASI POSŁOWIE

**Na półce stoi rząd segregatorów. Są grube, pękate, choć obejmują korespondencję tylko z jednego roku. To plon dyżurów poselskich pełnionych w Łódzkim Zespole Poselskim. Co poniedziałek do dyżurującego posła przychodzą ludzie stroskani lub zagniewani, zwierzają się ze swych kłopotów, proszą o radę i pomoc. Tu nigdy się tej pomocy nie odmawia. Czasem są to prawdziwe tragedie, czasem sprawy błahe, czasem problemy ważkie społecznie, czasem wręcz niepoważne porachunki osobiste. Przeplatają się tu, jak w życiu, bo też ten zespół jest soczewką, w której skupiają się wszystkie problemy życia społecznego miasta.**

Na chybił trafił zaglądam do pękatego segregatora. Oto bogata korespondencja w sprawie restauracji przy ul. Rzgowskiej. Mieszkańcy i administracja domu przy ul. Rzgowskiej 52 zwracają się do posła z prośbą o interwencję. Nazywają restaurację melina pijacką, której bywalcy zakłócają spokój, a na dodatek zanieczyszczają klatki schodowe, bowiem dyrekcja ŁZG przerobiła urządzenia sanitarne w lokalu na kantorek i umywalnię. Potem jest pismo Zespołu Poselskiego do Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej, potem jest odpowiedź z Dzielnicowej Rady, że sprawę przekazano do Wydziału Przemysłu i Handlu DRN z wnioskiem o cofnięcie zezwolenia sprzedaży alkoholu w restauracji. Wreszcie jest pismo od Wydziału Przemysłu i Handlu, zawiadamiające, że zakaz sprzedaży alkoholu został wprowadzony w życie. I że to powinno poprawić sytuację, ponieważ trzeźwi konsumenci nie przesiadują w lokalu długo i zachowują się kulturalniej. Wobec braku lokali zbiorowego żywienia w tej dzielnicy, likwidacja lokalu jest niemożliwa aż do momentu budowy nowego, przy ul. Rzgowskiej 48, co ma nastąpić w 1969—70 r.

Sprawa toczyła się od maja 1968 do stycznia 1969, ale wreszcie została załatwiona. Lokatorzy odetchnęli z ulgą.

Dalej znajduję rozpaczliwą prośbę kobiety, której mąż złośliwie uchyla się od płacenia alimentów na dziecko. Zalega za 35 miesięcy. Zwracała się już do komornika, do sekcji alimentacyjnej, do Fali 56, do prokuratora. Bezskutecznie. Mąż pracuje prywatnie jako cieśla, zmienia miejsce pobytu, powiedział, że na państwową posadę pójdzie jak córka skończy 18 lat.

Jeszcze dalej — prośba młodej matki o pomoc w umieszczeniu kalekiego dziecka w sanatorium. Pobyt w jednym sanatorium przyniósł znaczną poprawę zdrowia, ale starania o dalsze leczenie balneologiczne nie przynoszą już rezultatu. Poseł przekazuje tę sprawę do Wydziału Zdrowia z prośbą o jej załatwienie.

I tak dalej i dalej. Przerzucam kartki skoroszytów, wszędzie przeważają sprawy mieszkaniowe: prośba o przyspieszenie przydziału mieszkania, o mieszkanie zastępcze, o rozdzielenie skłóconych współmieszkańców. Te sprawy stanowią 65 procent ogółu przyjętych. Dalsze prośby dotyczą pomocy w uzyskaniu stałego zameldowania w Łodzi, dalej — sprawy rent, pomocy społecznej, terminów i jakości remontów, uzyskania pracy itd. Liczba spraw meldunkowych maleje, mieszkaniowych — stale wzrasta. Są i sprawy błahe: pomóżcie, bo nie chcą mi założyć telefonu, pomóżcie odebrać zaliczkę wpłaconą na kurs samochodowy, na który nie chodziłem, pomóżcie mi kupić samochód... Ale posłowie wszystkich traktują poważnie, wszystkim starają się pomóc, nikogo nie pozostawiają bez odpowiedzi.

Może dlatego liczba wizyt wyborców w zespole poselskim jest w tej kadencji znacznie większa niż w poprzedniej. O ile w III kadencji ilość interwencji zgłoszonych w czasie poniedziałkowych dyżurów poselskich zamknęła się liczbą 1.559, to w IV kadencji, do 28 lutego bieżącego roku przyjęto 3.590 spraw. Rośnie zaufanie do skutecz-

FELIKS BĄBOL

# KOZINY — portret przedmieścia?

**Człowiek, z którym rozmawiałem w jego mieszkaniu przy ul. Kasprzaka, jest chyba najciekawszym człowiekiem dzielnicy. Jego funkcja: przewodniczący komitetu blokowego. Na jego terenie mieszka obecnie 2.005.720 ludzi. Nie ma tak zaludnionego bloku w całej Polsce.**

— Tylko — mówi — te dwa miliony, to ci, co leżą na starym cmentarzu. Wliczam ich, bo to teren mojego bloku.

Cmentarz na Srebrzyńskiej powstał w końcu XVIII wieku i odtąd stale się rozbudowuje, pochłania coraz więcej ludzi, ludzi, którym było różnie. Albo bardzo dobrze, albo dobrze. Ludzi, którym było źle, proletariat, chowano raczej na mniej okazałych cmentarzach — na Mani, Kurczakach, Zarzewie. Wśród tych, jak mówi przewodniczący, dwóch milionów podopiecznych, byli nawet oficerowie napoleońscy, wielcy przemysłowcy i kupcy, matadorzy łódzkiego przemysłu, prominenci miasta buchającego rosnącym bogactwem i ciągłym rozkwitem.

Cmentarz połączył ludzi rozdzielonych przez kościół za życia — katolików z prawosławnymi, ewangelików reformowanych z ewangelikami augsburskimi. Na terenie komitetu blokowego, z którego przewodniczącym rozmawiam, spoczywają przedstawiciele dawnych fortun, wśród żywych podopiecznych przewodniczącego natomiast — przewaga jest po stronie robotników. Oni stanowią główny trzon mieszkańców Kozin, bo to im się słusznie należy. Ale zanim w nowych czasach zapełnili oni dziesiątki nowych domów mieszkalnych, wyposażonych tak, że nie powstydziłby się tego standardu żaden z leżących na cmentarzu fabrykantów i kupców — tworzyła się cała historia dzielnicy.

W prostokącie między Srebrzyńską i Drewnowską, cmentarzem i ul. Letnią przy torach — gdzieniegdzie tylko wciskały się w bujne łąki i pola ubogie domki z ogródkami lub bez, tu i ówdzie tylko wyłaniała się czynszowa kamieniczka. W latach pierwszej wojny światowej największym domem Kozin był 2-piętrowy dom Krzemińskiego na Okrzei, a dopiero w listopadzie 1916 roku ulica Żelazna poczęła się nazywać ulicą Długosza. Te lata wryły się w pamięć starych koziniaków, bo pod Łodzią toczyły się zaciekłe walki armii kajzera z armiami cara, bo tu, przed kościółkiem przy ul. Letniej, pochowano 400 żołnierzy rosyjskich. Wieziono ich na niczym nie osłoniętych kibitkach z lazaretu pospiesznie zorganizowanego w fabrycznej stołowni (jak się to w tamtych czasach nazywało) na Gdańskiej 167.

Po dziesięciu latach, już w okresie międzywojennym, te zbiorowe mogiły żołnierskie przeniesiono na inne cmentarze, a wśród nich i na stary cmentarz przy ul. Srebrzyńskiej. W tym okresie również Rada Miejska w Łodzi nazwała dzielnicę „przedmieściem Kilińskiego", ale nazwa, choć nawiązująca do akcentów rzemieślniczo-obuwniczych naszej historii, nie utrzymała się długo. Po staremu ludzie mówili o „Kozinach" i mieszkali na „Kozinach".

Ludzka pamięć sięgająca do tego czasu, nie ujawnia zbyt różnorodnej urbanistyki dzielnicy. Na Długosza była garbarnia i filcownia, na Pietrusińskiego (dawn. Włodzimierska) i na Letniej — knajpy, na rogu Srebrzyńskiej i Włodzimierskiej zakład fotograficzny Paluszkiewicza. Cała ta zabudowa padła ofiarą czasu. Z małej dzielnicy liczącej kilkuset mieszkańców Koziny awansują po latach ale jeszcze przed drugą wojną światową, do społeczności prawie trzytysięcznej. Poznański wydzierżawiał małe działki budowlane na swych terenach położonych na zachód od fabryki, a ludzie, przede wszystkim jego pracownicy, budowali tu własne dachy nad głową.

Na Bardowskiego, Górnej, Gazowej do dziś stoją te domki; nie wszystkie urządzone nowocześnie, ale stoją na pamiątkę czasów, które odeszły. Domki jak chatki Puchatka złączyły się z dziejami wielkiego budownictwa, które tu, na Kozinach, przeżyło po ostatniej wojnie swój okres impetu. Nawet gdy nadciągnęły w latach 50-tych pierwsze koparki, jeszcze wtedy znaleźli się na polach przy Drewnowskiej i Kasprzaka spadkobiercy tych, którzy od Poznańskiego dzierżawili działki. Wypasali na tych działkach kozy i bydło w panice pierzchające przed buldożerami i betoniarkami, bo ich ojcowie dali za wygraną. Nie zdążyli zrealizować na tych działkach celu swego życia, nie zostawili po sobie, jak ci nieliczni z Bardowskiego, Górnej i Gazowej, nawet najmniejszego domku.

Gdy stawały jeden po drugim bloki mieszkalne — z loggiami, wc, c.o, parkietami, gazem, kanalizacją i wodą miejską — nadszedł moment krytyczny. Trzeba było przecież raptownie zmienić stereotyp myślenia — tam, w tych rachitycznych, wzniesionych z łaski Poznańskiego domkach zmaterializowało się całe nieraz życie ludzkie, pełne wyrzeczeń i ograniczeń, głodowania i sknerzenia. Tu — w nowych domach — władza ludowa dawała mieszkania ludziom, którzy właściwie życie mieli dopiero przed sobą a już mieszkali jak Poznańscy, czy jak wielu tych, których prochy leżą teraz pod pięknymi tablicami i nagrobkami na pięknym starym cmentarzu na Srebrzyńskiej.

Mój przewodniczący opowiedział mi oryginalną historię.

— Wie pan, na Górnej jeden tylko Hanke miał w domu gaz. Pracował w gazowni, był tam kimś znacznym, miał trochę oszczędności, więc przyłączył domek do sieci na Srebrzyńskiej.

Ale oprócz zmian w przedwojennym stereotypie myślenia o własnym dachu nad głową, powstał w latach budowlanego naporu na Koziny inny problem. Narodziła się potrzeba jakiejś satysfakcji wobec tych, którzy musieli się przestawić na inne myślenie, wobec tych wszystkich małych „kamieniczników", którym przyszło teraz mieszkać w sąsiedztwie nowych, wspaniałych domów. Więc miasto zdobyło się w owych 50-tych latach na gest. Doprowadziło do tych uliczek gaz i wodę, kanalizację — aby wyrównać historycznie narosłe różnice. Przecież nieraz życiowo usamodzielnieni fachowcy, synowie tych „kamieniczników" sprzed wojny, otrzymywali teraz nowoczesne mieszkania naprzeciwko owej zmurszałej symboliki ludzkich wyrzeczeń, symboliki kapitalistycznego czasu. Dano więc cywilizacyjną szansę tym ludziom.

* * *

Mieszka tu teraz około 14 tys. łodzian. Jest to dzielnica, ktrej poszczęściło się najbardziej. W całej Łodzi tylko około 40 procent ludności mieszka w nowych domach, na Kozinach — aż 65 proc. Ale na Kozinach, jak nigdzie, przemieszała się społeczność. W nowych domach tylko jeden lokator na dziesięciu, to stary mieszkaniec dzielnicy, dziewięciu przywędrowało na mocy przydziałów mieszkaniowych z innych dzielnic miasta. W bloku na Drewnowskiej np. zamieszkali ludzie z domów rozebranych pod budowę wiaduktu na Rzgowskiej, na Okrzei, na Hibnera — ludzie ze starych rozebranych ruder w różnych punktach Łodzi.

KOZINY

*Fot. Konrad Turowski*

Tylko młodzież niechętnie z początku odnosiła się do przeprowadzki. — Co? — mówili młodzi ludzie — już za młodu leźć pod cmentarz?

Ale wkrótce zasymilowali się, przyzwyczaili. Zaludniają świetlice przydomowe, odwiedzają Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej, grają w siatkówkę i ping-ponga, w piłkę nożną, chodzą z TKKF-em do MDK na Moniuszki na pływanie, uprawiają dżudo. Któż by tam pomyślał choć przez chwilę, że zamieszkał w bliskim sąsiedztwie mogił?!

Oczywiście procesy integracyjne i procesy współżycia w zbiorowisku ludzi o różnych nawykach dzielnicowych, zwyczajach wyniesionych nieraz z podwórek, z kamienicy, w której mieszkało się pół wieku, nie przebiegają metodą uprzemysłowioną, jak budownictwo, które dało tu przyzwoity dach nad głową, dziesięciu tysiącom. Awans dzielnicy — awansem, ale społeczność scala się i cementuje znacznie wolniej i dłużej. Kapral np. awansuje na plutonowego, ale wcale mu to nie przeszkadza po staremu operować kwiecistymi wiązankami. To samo tutaj — ludzie włączyli się do nowej cywilizacji stworzonej przez nowy czas, ale nowe nawyki i nowe normy współżycia nie przychodzą z dnia na dzień.

Nawet dawni, przedwojenni gołębiarze, gdy rozstawali się z winerami i wajsfiglami (bo nie było już gdzie ich hodować) nie zmienili jeszcze całkiem swego hobby. Niektórzy z nich w poszukiwaniu nowej zastępczej treści życia, przesiadują godzinami w barze „Klopsik" na Długosza, rozpamiętując dawne czasy i nowe warunki. Z baru „Klopsik" nie tak łatwo „wyskoczyć" na jakąś „robotę" — bo to nie ta epoka. Przed wojną — co innego. Koziny śmiało rywalizowały z Bałutami i Żubardziem, a pola między cmentarzem i Lutomierską nieraz stawały się widownią krwawych starć całych klanów spod znaku kastetu i majchra. Teraz jest to już bezpowrotna przeszłość. Owszem — Kozin nie zamieszkuje obecnie wyłącznie oczyszczona kadrowo społeczność aniołów, ale brutalizmu, grandy i przestępczości, które rodziły ostre sprzeczności klasowe czasu przedwojennego — tego dziś nie ma. I to jeszcze jeden awans dzielnicy.

Życie Kozin nie jest zawieszone w próżni ponadczasowej, więc i przed nimi jawi się jutro — ze swymi nadziejami i szansami. Najważniejsze wśród nich, zdaniem przewodniczącego — to uspołecznienie obywateli.

— Mamy tu już 18 oddanych społeczników. Zakochani są w sprawach Kozin, żyją ich problemami. We wszystkich kwestiach upiększenia dzielnicy, ułatwienia życia jej mieszkańcom, organizacji czasu wolnego i kulturalnej rozrywki, działają na zewnątrz jak pożyteczne bakterie. Budzą w ten sposób inicjatywę ludzką.

W pięknych słowach mówił przewodniczący o stałej potrzebie kształtowania dobrych stosunków międzyludzkich. Z jego słów wynikało również, że uspołecznianie ludzi to ogromnie trudne zadanie. Mówił, że kiedyś trzeba było walczyć z obojętnością ludzką, że nie tak łatwo jeszcze o dostateczną ilość opiekunów społecznych, którzy zainteresowaliby się wszystkimi naglącymi faktami i potrzebami, a wśród nich osamotnieniem ludzkim, czy bezradnością na stare lata. Nie bez olbrzymiej energii i płomiennego zapału przyszło organizować osiedlowy dom kultury na Wapiennej, place zabaw dla dzieci i świetlice. Wielkim dziełem jest nadal upowszechnienie idei współodpowiedzialności, współgospodarowania i stworzenie szerokiego przekonania, że interes społeczny osiedla, dzielnicy i jej mieszkańców jest nie tylko społecznym obowiązkiem ale i prawem bogatym w satysfakcję.

Miejmy nadzieję, że grono tych społeczników będzie się stale zwiększać. Historia Kozin jest bowiem historią uczącą optymizmu. Nie było tu nic, były gołębie i zachwaszczone pola. A teraz? Przyjedźcie sami na Koziny, obejrzyjcie malowane domy, porozmawiajcie z ludźmi. W takich domach mogą mieszkać tylko optymiści.

---

ności pomocy poselskiej, ich życzliwości, operatywności.

Ale — przeglądając grube segregatory trudno oprzeć się refleksji, że gdyby administracja i wszystkie jej piony działały sprawniej, wykazywały więcej troski o sprawy ludzkie, to znacznie zmniejszyłaby się liczba interwencji poselskich w sprawach nieraz oczywistych, przy dobrej woli prostych do załatwienia. A sami posłowie mieliby więcej czasu na sprawy istotne, o szerszym znaczeniu społecznym.

* * *

Do takich skutecznych, cennych form działalności posłowie zaliczają bezpośrednie kontakty ze społeczeństwem, spotkania w zakładach pracy, w określonych środowiskach, gdzie prowadzą rozmowy na tematy społeczne i polityczne, dyskutują o realizacji programu wyborczego, wykonaniu planów budownictwa mieszkaniowego, budowie szkół, przedszkoli, radzą nad poprawą pracy placówek służby zdrowia, komunikacji, sieci handlu i usług. Krytyka określonych środowisk przez społeczeństwo: służby zdrowia, komunikacji, remontów — powoduje dalsze spotkania poselskie, właśnie z przedstawicielami tych środowisk. I znów rozmowy na temat stylu pracy, trudności i sposobów ich rozwiązania.

W wyniku spotkań środowiskowych i terenowych rodzą się cenne inicjatywy — czyny społeczne. Ot, na przykład okazuje się, że załoga jakiegoś zakładu jest zainteresowana w szybkim uporządkowaniu ulic, prowadzących z miasta do fabryki, w zagospodarowaniu zaniedbanego terenu, budowie zieleńca, parku, czy ogródka jordanowskiego. Interwencja sprawia, że miejscowe władze wychodzą tej inicjatywie naprzeciw. I oto czyny społeczne dały miastu w samym tylko 1968 roku dzieło wartości ponad 71 milionów złotych.

* * *

Większość posłów reprezentujących nasze miasto, pełni odpowiedzialne funkcje w poszczególnych komisjach sejmowych. W Komisji Przemysłu Lekkiego, Rzemiosła i Spółdzielczości Pracy jest ich aż czworo: Józef Spychalski, Irena Sroczyńska, Barbara Natorska i Henryka Golińska. Irena Sroczyńska jest przewodniczącą tej Komisji. Dr Leon Nitecki jest wiceprzewodniczącym Komisji Zdrowia, Kultury Fizycznej i Turystyki, Leon Chajn — wiceprzewodniczącym Komisji Obrony Narodowej, Mieczysław Marzec — wiceprzewodniczącym Komisji Spraw Wewnętrznych. W Komisji Oświaty i Nauki Łódź jest reprezentowana przez prof. Jerzego Wernera, w Komisji Przemysłu Ciężkiego, Chemicznego i Górniczego — przez Henryka Żakowieckiego, w Komisji Planowania, Budżetu i Finansów przez Michalinę Tatarkównę-Majkowską.

Działalność Łódzkiego Zespołu Poselskiego w IV kadencji Sejmu można zobrazować cyframi: z początkiem kadencji przekazano radom narodowym 4.243 postulaty do realizacji. Z tego na dzień 31 grudnia 1968 roku załatwiono pozytywnie 2.077 spraw. To poważny dorobek, ale to tylko niewielki wycinek działalności poselskiej.

Podstawowym kierunkiem działania jest praca w komisjach sejmowych, uczestniczenie w pracy Sejmu, w realizacji narodowego planu gospodarczego, reprezentowanie na forum sejmowym interesów naszego miasta. Łódzcy posłowie występowali do władz centralnych w różnych istotnych dla funkcjonowania miejskiego organizmu sprawach, popierając słuszne starania władz administracyjnych Łodzi. Załatwiono dodatkowy przydział autobusów dla miasta, wystąpiono o przyspieszenie budowy zakładów obuwia gumowego, wiaduktów, oczyszczalni ścieków itd. Na zebraniach zespołu omawiano funkcjonowanie służby zdrowia, opieki społecznej, budownictwa mieszkaniowego, dyskutowano nad perspektywicznym rozwojem miasta, zatrudnieniem, ustawie o bhp i innymi najbardziej żywotnymi problemami miasta. Najtrudniejsze z nich przenoszone były na obrady komisji sejmowych, omawiane na szerszym forum dla uzyskania poparcia komisji w ich realizacji. Działalność naszych posłów na terenie komisji sejmowych mogłaby być tematem oddzielnych artykułów.

Posłowie kończą swą kadencję, kadencję bardzo pracowitą. Myślę, że nieobce im jest uczucie satysfakcji z tego, czego dokonali na przestrzeni minionych lat, ze świadomości, że uczestniczyli czynnie w dalszym rozwoju naszego miasta, że pomogli mieszkańcom tego miasta w osiągnięciu dalszych zdobyczy socjalnych i materialnych. Nie jest to oczywiście koniec dzieła, jest to tylko zamknięcie pewnego etapu, który stanie się punktem wyjścia dla posłów nowej, piątej kadencji sejmowej. Ci, którzy pozostaną w zespole na następną kadencję, będą korzystać ze swych czteroletnich doświadczeń. Ci, którzy odejdą, przekażą swe doświadczenia nowym.

* * *

W grubych segregatorach, które mieszczą akta zgłoszonych i załatwionych spraw, niezmiernie rzadko znaleźć można kartkę papieru z podziękowaniem za załatwienie prośby. Nie jest to chyba wyraz niewdzięczności, ot, zwykłe ludzkie zapomnienie w wirze codziennych zajęć. Myślę, że posłowie nie mają o to żalu. Ale myślę też, że zwykłe „dziękuję" nie jest im obojętne.

FELIKS RAJCZAK

# Andrzej Frycz – Modrzewski

Tu osiadł on na wzgórzach wolborskich, w pobliżu
Trybunału by wzgląd mieć na naszą Koronę.
On, Modrzewia Pan Mądry, rozpisany w księgi
Opuszczał swą komnatę i schodził ku polom
Ornym albo nad stawem siadał moczył nogi
I pisał gęsim piórem wybranym z murawy
Na kolanie — bo śpieszył się ratować Rzplitą...

Ileż to razy pszczoła wpadała mu w ucho
I skwar południa srożył jęk zdybanej w dyby
Czarownicy? Obracał się widnokrąg czasu
Na kołach które sochę wodziły przez włóki
Wykarczowane Panu
Ortaj się przedzierzgał
W wilka — a głodny bywał kozłem lub baranem.
Na przedwieczerz pochylał się do kolan zorzy,
Jutrznię zasię mu pleban po północy wnosił
Pod strzechę kurnej chaty, pod powieki lniane —
Zrywał się z legowiska leniwie i oczy
Oddawał niebu — kwiecień grochem o horyzont
Uderzał dzwięcznie, siano jare dary w ziemię
Aże pogoda rosła na jęczmienne żniwa

Frycz obmył brodę w źródle, owinął się płachtą
Białą i wyszedł między zagony ku ptakom,
Miał w zanadrzu pszenicy i prosa po ziarnku
I przemienić je pragnął w Urodzaj Ojczyzny.

Owe ziarna tu wzeszły: Egipska pszenica
Sprawdziła się po wiekach.
Pszczoły miód z pól niosą

ROMAN ŁOBODA

# Miary

Najpierw struktura powietrza i wód uspokojenie
racic ślady na piasku we wrzosach co wzrosły
górą łopot przelotu a pióro od ptaka

nie skrywaj powieką źrenic
w miazgę cię może zamienić
sen niestosowny przy rafach

Później na dłoniach monet koleiny
błysk flesza posągi z gliny kantory wymiany
aroganccy przekupnie łokciem w człeka mierzą

Co u wagi językiem
odciąć nie daj szalbierzom
wysoka strefo wymiaru

Jeszcze budowa ciała do wszystkiego podobna
bez racic wszelako a górą pion lotów
serce chociaż wymienne w tej strukturze ładu
a piersi także piękności a uda rozkoszy

niech zgorszenia nie wieści twarzą pobielaną
archetyp z krwią na źrenicy i wyschniętą
czaszką

JERZY JARMOŁOWSKI

# Z sonetów

IX

bo tobie ziele co zakwita nocą
i żyworodne po biodrach się wije
w nim się chowają ropuchy i żmije
w nim mięśnie chłopców wiotczeją niemocą

zmyślny mi wywar podajesz że żyję
mieszasz skrzek żabi — ponoć ci pomocą
w cynowym kubku jeszcze przed północą
gołębie serce ze skrzekiem wypiję

kroplę krwi dodasz z serdecznego palca
i moją trumnę poniosą polami
a ty w ramionach hodujesz padalca

aż bezeceństwo w pszenicy wyrasta
aj będą ciebie smagali rózgami
potem przez komin podrzucą do miasta

MIECZYSŁAW KUCNER

# Łódź

Szukać i odnaleźć siebie wśród ulic,
spośród licznych fragmentów próbować złożyć
Całość. To miasto nieprzyjazne poetom, to miasto
pracy i walki. Lecz poezja czy nie jest walką?
To miasto Broniewskiego stroi gniewnych.

Tylko uważnie się wsłuchaj w rytm maszyn,
ramię w ramię stań z robotnikiem i przyjm
jak posłanie uśmiech dziewczyny znad krosna;
ta sama jedność w atomie i w oku. I siła
ta sama. Nieprawda, że rytm przemijania
jest niezawodny i trwalszy niż pamięć.

Praca nie żąda pieśni, gdyż sama jest pieśnią.
Pamiętaj nie żyje Broniewski a tylu innych odeszło.
Lecz prawo do życia potwierdza się pracą, rację
ma Klasa; pisz wiersze na miarę własnego oddechu

Tak musisz rozliczać się z dnia, który odszedł.
— Czy spisałem się dobrze z miłości do Ciebie,
Miasto, czy gryzący dym z fabryk nie przesłonił mi
słońca i nie starł z twarzy uśmiechu?

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

# Niobe matko

*Pamięci Jerzego Ćwiklińskiego*

Matko osiko siwa
Liściu oderwany od drzewa
Od syna
W sercu niesiesz trumnę

Niobe po śniegu
To jego z tobą ostatni spacer
Pod gałęziami odartymi z nieba
Oparty o twoje ramię
Mocna matko
Wchodzi w mróz

Niobe gołąbko przetrącona
Niobe oczy pęknięte
Niobe matko z synem u szyi
Na ziemi zimnej jak czoło Niobe mamo

WOJCIECH KAWIŃSKI

# Spacer

*Tadeuszowi Chróścielewskiemu*

Woda przeszła i stała się dymem.
Ptak odleciał w śniegu ciężkie gniazda
A z kamienia wyciosana gwiazda
Dach przykryła. I starą równinę

Między którą ogrodu lśnił szkielet.
Tutaj myśmy po szorstkie owoce
Zakradali się cicho. Lepkie noce
Były dla nas nauką. Tak wiele

Spraw ukrytych mieściło się obok....
A teraz trawa... Zimny i jałowy obłok...

Nie cofną swoich trybów karuzele
O wirujących pusto krzesłach...

JERZY WILMAŃSKI

# Ten ptak trzepocący

ten ptak bije skrzydłami
uderza o kruchą kość

a ostrzegali
a mówili
którejś wiosny albo jesieni
rozsadzi klatkę żeber
ten ptak trzepocący

właśnie wiosna zastukała
w pierś

słuchaj
mówi
już czas

JERZY WALEŃCZYK

# Kawa

Balaton jest wysoko. Jak się patrzy z ulicy, to widać taras, jesienią i zimą smutny, bo goście siedzą we wnętrzu. Balaton to kawiarnia, nie jezioro węgierskie ani ptak, który usiadł na dachu. Nad Balatonem płyną chmury. I słynie on z dość niezłej kawy i niejeden przenosi się tam do stolika, aby ustalić, co i jak.

Akurat siedziałem i piłem kawę podaną przez kelnerkę, którą znam od lat, przeniosła się tutaj, kiedyś pracowała w restauracji i kiedy mnie zobaczyła kiwnęła głową. Latem przeważnie odpoczywa sobie z mężem pod miastem, a właściwie jeszcze w granicach miasta, goście jedzący w tamtej restauracji mówią do niej — ach kompot, słodki kompot pani poda, akcentując to słodki i przeciągając i patrzą na nią natarczywie.

Zaproponowała mi likiery. Zdecydowałem się na Ponge. Niech będzie Ponge. To drobnostka. Ponge jest drobnostką. Poznać go można w zasadzie miarą powrotu do następnego kieliszka, ale jeden do kawy dosyć, więc kładę pieniądze na stoliku, a tu patrzę wbiega Tomasz, a z Tomaszem wiążą mi się dziwne historie.

— Chcę się napić kawy — mówi.

— Chcesz, proszę bardzo — mówię.

Stoi w wejściu z szalikiem niedbale przerzuconym wokół szyi, z nerwowymi grymasami.

— Cóż, zostaje nam się napić kawy — mówi. — Ale nie tutaj — dodaje.

Kiedy usłyszałem jak to Tomasz zachęca mnie do napicia się kawy gdzie indziej i zobaczyłem jak to się obraca tym swoim półobrotem, myślę sobie jaka to matematyka go tutaj sprowadziła, ale myślę sobie — wolna gra rozstrzygnie do jakiego stopnia ta kawa wypita z Tomaszem będzie mi smakować.

Zeszliśmy schodami do jego wozu i przypomniał mi o drzwiach samochodu.

— Więc gdzie jedziemy? — zapytał.

Kawa nie jest pomnikową sprawą, więc po chwili nam się odczarowała ulica ze sklepami dywanów, obuwiem, ze sklepem odczyszczania kapeluszy. Tomasz ma oczy Japończyka, ale to może być moje złudzenie.

— Umówiliśmy się wtedy w Cyganerii, byłeś? — mówi.

— Dobrze, więc jedziemy do Cyganerii — mówię.

W niedzielę kształty ulicy jaśnieją ostrzej, ludzie nie mieszają się tak jak w dzień powszedni, biorąc pod uwagę te rozproszone ziarenka, co zachwycają się nad szczegółami wystaw, i odwracają się później. Patrząc na tłum, zróżnicowany i nie można odwrócić jego biegu, jakkolwiek ktoś mógłby sobie tego życzyć.

Do jakiego stopnia ta kawa może mi smakować, zacząłem się zastanawiać, spotkaliśmy się, więc jedziemy. Tomasz i ja. Wsunąłem nogi pod kierownicę i podjeżdżamy pod Cyganerię. Cyganeria i kawa tutaj mierzy się także miarą powrotu. Tłoczymy się do wnętrza, wóz został na ulicy, patrzymy, goście się przemykają, a Tomasz ma oczy Japończyka. Nie mamy tu jednak kogo pozdrowić, bo Staszka nie widać, tego Staszka, który tu zazwyczaj siedzi, debiutował bardzo ładnie w teatrze studenckim. Ba, nawet w sztukach Witkacego grał, ale jakoś ostatnio coś tam pokomplikował, ale nie ma wątpliwości, że Staszek i teatr, no i w ogóle. Ani żeśmy nie osłupieli na widok jakiejś piękności, bo piękności nie było widać, więc nie zmieszaliśmy się z pijącymi kawę tutaj, chociaż formalnie można by się kawy napić.

— No i co — pyta Tomasz.

— Idziemy — mówię.

Znów jaśnieją ostrością kryształy wystawowe, aparatury. Jedziemy w kierunku placu Wolności.

— Wiesz, gdzie byłby sens — pyta.

— Na Nowotki jest jedno bardzo dobre miejsce — mówi.

— A, jest jest — mówię.

Tomasz dobrze jeździ. Lekko, dobrze hamuje. Mijamy znakomity pomnik, najznakomitszy pomnik w tym mieście, wspominam tych, którzy go postawili, zagraniczna robota, ładny grosz kosztuje, patrzy Kościuszko sobie na Wschód, na Nowotki, ale nad placem Wolności, na dachu, nad perfumeriami lew sobie leży na dachu i spogląda na bohatera z góry, kamienny lew, więc nie trwożę się i jedziemy dalej w ulicę Nowotki.

Ziarenka niedzielne, odświętne, wygłaskane, jedno bardziej niż drugie. Mijamy je, i naprawdę statystyka skłania do dziwnych uczuć. Skosztują kawy w tej i tamtej kawiarni. Spokojnie, jeżeli to jest proste, to picie kawy, a przecież jest proste. Statystyka, statystyka. Ludzie w pewnej chwili uznani zostają za liczbę. I kelnerki które podają kawę i maszynistki stukające swoje bilanse, kiedy idzie burza i kiedy jest spokojnie, i naprawiacze parasolek zostają uznani za statystykę, naprawiacze parasolek ze skłonnościami do dziwnej symetrii i chłopcy z apteki ze zdolnościami wrodzonymi do leków i wag.

— Skąd ci przyszła chęć na kawę? — pytam.

Tomasz nie zaniedbuje auta.

— Tak sobie — mówi.

Tomasz jest lekarzem ginekologiem. W niedzielę jest trochę zmęczony. Jest przy narodzinach człowieka, nachyla się.

— Być uznanym pewnego dnia za pojęcie, za symbol, oto los człowieka — mówię.

Patrzymy przed siebie na ulicę.

— Kiedy dotykam pierwszy raz człowieka, jego małego ciałka zdaję sobie sprawę jak wiele czynników wpłynie na jego życie.

Jak wiele przedmiotów, po prostu przedmiotów.

— Tak, cóż zostaje po rozkoszy spełnionej.

Jest niedziela, więc mówimy odświętnie.

Tomasz ilekroć mówi o rozkoszy, mówi z pewnym przygnębieniem.

— Pożądanie, rozkosz, człowiek — mówię.

Tomasz, młody ginekolog, z przechyloną futrzaną czapką nad spojrzeniem uważnym inteligentnych czarnych oczu, milczy.

Potencjalnie mógłby kiedyś, kiedy był jeszcze studentem studiować inne specjalności. Jest coś między mięsem życia a wyobraźnią, jakaś dysproporcja.

Zdumiewające jest zjawisko pożądania — mówię.

— Ludzie boją się samotności — mówi Tomasz.

Widzę przez szybę auta wysoki budynek klasztorny niegdyś, potem w czasie okupacji była tu dziwna instytucja zajmująca się doborem gatunków. Po to, aby uzyskać gatunek doskonały. A przecież na człowieka, na niego jeszcze lasy przedpotopowe pracowały.

— To gdzie wysiądziemy?

— Niech będzie Nowomiejska.

Jest tu coś, co ożywia Tomasza, te jego ręce na kierownicy, ta jego lapidarna twarz. W kącie Nowomiejskiej jest jakieś młode towarzystwo, funduje sobie wino, nie zaniedbuje niedzieli, nasze wejście biorą za coś im znajomego, w co ciężko uwierzyć, bo ani on ani ja nie znamy nikogo z siedzących tutaj. Odczuwamy nagle tę zrogowaciałą obojętność niedzieli manifestowaną nonszelancją tego podchmielonego towarzystwa. Nawet jakaś dziewczyna jest tam ładna. Ale przecież uświadamiam sobie, niedziela jest realna, jest nowe miasto, ja nie jestem badaczem archaicznych egzystencji, a racjonalnie, aż nadto racjonalnie, objawia się forma i kształt miasta.

Nieobecność jest najbardziej obecna w niedzielę.

Znów wsiadamy do Simki Tomasza, on nic nie mówi dlaczego tak go coś gna cały dzień, ja nic nie mówię, Stare miasto. Lecz Tomasz nie widział końskiego łba, śmiejącego się końskiego łba, który jest pomnikiem, lecz czyim pomnikiem, ani nie widział pewnej barwy walczącej, dziesiątki lat, swoim istnieniem, istnieniem niezauważalnym, ani nie zna tego sklepu z farbami i pędzlami, ani kabały groźnej związanej z pewną maską karnawałową. Tomasz nie wierzy w cygańskie kabały. Jutro Tomasz będzie znów odbierał nowego człowieka przychodzącego na świat. Wygląda jakby naprawdę wolał o tym nie mówić.

— Idą pokolenia za pokoleniem — mówi.

— Niektórzy piją kawę — mówię.

— Jedźmy więc gdzie indziej, żeby ulżyć świadomości biednej.

— Gdzieś.

Tomasz widzi codziennie cierpienie rodzących. Widzi.

I cóż zostaje? Uczucia zamieszkujące przedmiot — zauważam.

— Chciałbym napić się kawy — mówi Tomasz.

I naprawdę chcemy napić się kawy.

W proporcji do tych niedziel. W proporcji do życzeń różnych i patrzę spod oka na tego dobroczyńcę ludzkości, na jego ręce, które unoszą nowych ludzi w ciągu tygodnia z ciemności na światło dzienne.

Chcecie wiedzieć jak się ta jazda niedzielna skończyła?

Nie mogliśmy nic wybrać tej niedzieli. Przypuszczam, że idące pokolenia są w stanie przeszkodzić mu w spokojnym skonsumowaniu filiżanki kawy. Jeśli chodzi o mnie, to wróciłem z jakimś takim uczuciem, a nie chciałbym podnosić Wielkiego Alarmu.

Naprawdę chcieliśmy się napić kawy.

*Kultura polska w świecie*

# Ze wspólnego pnia

## ROZMOWA Z VACLAVEM VANKEM

**Na temat wymiany kulturalnej pomiędzy Polską a Czechosłowacją przedstawiciel „Odgłosów" rozmawia z dr Vaclavem Vankem, I Sekretarzem Ambasady CSRS w Polsce.**

**„ODGŁOSY": Panie Doktorze, wymiana dóbr kulturalnych jest jednym z najpoważniejszych czynników wzajemnego poznawania się i zbliżania narodów. Można chyba nawet zaryzykować tezę, że im silniejsze są te kontakty, tym większy jest wzajemny szacunek i sympatia. Chcemy więc zapytać jak ocenia Pan dotychczasowe związki kulturalne między naszymi krajami? Co w nich szczególnie zasługuje na podkreślenie?**

**DR VACLAV VANEK:** Myślę, że przede wszystkim warto zaakcentować ich ogromną tradycję. Bezpośrednie sąsiedztwo Polski i Czechosłowacji, podobieństwo języków wyrosłych z tego samego, słowiańskiego pnia, związki polityczne wreszcie, sprawiły, że niemal od zarania bytu państwowego silnie oddziaływały na siebie kultury naszych narodów. Dotyczy to w równym chyba stopniu prądów artystycznych jak i umysłowych. Sięgnę tu po wprost narzucający się przykład z przeszłości. Ruch religijno-społeczny zwany husytyzmem wycisnął przecież równie głębokie piętno w mojej ojczyźnie jak i w Polsce. W wojnach husyckich przeciwko niemieckim feudałom brali udział polscy ochotnicy, a potem wspólne oddziały polsko-husyckie wyruszyły na ziemie zakonu krzyżackiego. Po rozbiciu husytyzmu w Czechach miał on silne jeszcze bastiony w Polsce, w Zbąszyniu i Pakości.

Skoro zaś jesteśmy przy tradycjach trudno pominąć nazwisko Jana Komensky'ego, wielkiego reformatora szkolnictwa w Czechach, który wypędzony z ojczyzny znalazł schronienie właśnie w Polsce, w Lesznie i mógł dalej głosić swoje poglądy. W przyszłym roku minie 300 lat od śmierci tego wielkiego myśliciela a rocznica ta przyczyni się zapewne do przypomnienia naszych wspólnych tradycji kulturalnych. A znaleźć tu można rzeczywiście wiele bezpośrednich związków. Uderzające jest zwłaszcza podobieństwo pieśni ludowych czeskich i słowackich do pieśni ludu polskiego. Jest to podobieństwo językowe, melodyczne i motywowe, można by podać wiele interesujących przykładów tych pokrewieństw. Sięgnę po pierwszy z brzegu: przejmująca pieśń o dzieciach polskich powracających z niewoli tureckiej ma swój odpowiednik w języku czeskim.

**„ODGŁOSY": Podane tutaj przez Pana przykłady wzajemnych związków kultury polskiej oraz czeskiej i słowackiej świadczą, że już w odległej przeszłości panowało w tej dziedzinie duże ożywienie. Kiedy kontakty te przybrały charakter instytucjonalny i jak się one głównie realizowały?**

**DR VACLAV VANEK:** Stosunki kulturalne między naszymi narodami wyraźnie ożywiły się już w ubiegłym stuleciu. Symbolem tych związków może być przyjaźń Fryderyka Chopina z czeskim kompozytorem i wirtuozem Józefem Slavikiem. Pojawiło się wiele przekładów z literatury polskiej. Tak więc J. Vrchlicki dokonał przekładu „Dziadów" Mickiewicza, zaś J. Sladek przełożył „Konrada Wallenroda". Najpełniej jednak wzajemne związki kulturalne zaznaczyły się w ruchu teatralnym. Można chyba nawet powiedzieć o daleko posuniętej współpracy scen polskich i czeskich. Wymiana obejmowała repertuar i wykonawców. Sztuki Bałuckiego, Fredry, Zapolskiej weszły do repertuaru naszych teatrów, jeśli zaś idzie o wymianę aktorów wytworzyła się tego rodzaju praktyka, że wykonawcy wypowiadali swoje role w rodzimym języku. Tak więc na przykład Helena Modrzejewska wystąpiła w teatrze praskim w „Marii Stuart" Szekspira wspólnie z aktorami czeskimi, zaś Leopolda Dostalova i Maria Hibnerowa występowały na scenach polskich.

**„ODGŁOSY": Nasze kraje obchodziły niedawno rocznicę 50-lecia odzyskania niepodległości. Jaki miało wpływ odtworzenie bytu politycznego Polski i Czechosłowacji na wzajemne stosunki kulturalne?**

**DR VACLAV VANEK:** Po pierwszej wojnie światowej wymiana dóbr kulturalnych między naszymi krajami uległa dalszemu rozszerzeniu. To było naturalne, bo w nowych warunkach stosunki kulturalne można było właściwiej ukształtować. Godne odnotowania jest zainteresowanie literaturą polską w Czechosłowacji. W okresie międzywojennym nasi tłumacze przyswoili czeskiemu czytelnikowi prawie całą polską literaturę okresu romantyzmu pojawiły się przekłady utworów Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Dokonano też wielu tłumaczeń polskich powieści. Prus, Sienkiewicz, Orzeszkowa, Reymont — to tylko część pisarzy których książki przełożone zostały w tym czasie w Czechosłowacji.

Pomyślnie też rozwijała się wymiana kulturalna w dziedzinie teatru. W Pradze występowały polskie aktorki Maria Dziedzic oraz Maria Przybyłko-Potocka. A. E. Burian, twórca awangardowego teatru, wystawił głośną sztukę Brunona Jasieńskiego pt. „Bal manekinów". Jako ciekawostkę zaś mogę podać, że w roku 1939, na krótko przed zajęciem Czechosłowacji przez Niemców, teatr praski wystawił „Moralność pani Dulskiej" Gabrieli Zapolskiej. Był to ostatni spektakl praskiego teatru przed okupacją.

**„ODGŁOSY": Jak Pan ocenia wymianę kulturalną Polski i Czechosłowacji w latach powojennych, odkąd w naszych krajach dokonał się socjalistyczny przełom?**

**DR VACLAV VANEK:** Chciałbym zauważyć, że pod niemiecką okupacją w naszym społeczeństwie nie zmalało zainteresowanie polską kulturą. Najlepszym tego dowodem jest choćby to, że właśnie w tamtym okresie wybitny poeta Franciszek Halas przetłumaczył „Balladynę" Słowackiego oraz „Konrada Wallenroda" i „Dziady" Mickiewicza. Wyzwolenie spod okupacji hitlerowskiej oraz wspólne wkroczenie naszych krajów na drogę budownictwa socjalizmu umożliwiło szczególnie bogatą wymianę kulturalną obejmującą wszystkie dziedziny sztuki, naukę, oświatę. Sympatia do Polski, uznanie dla jej osiągnięć w dziedzinie kultury zyskały w Czechosłowacji nowe bodźce choćby dlatego, że wśród oddziałów wojsk sojuszniczych, które oswobodziły nasze ziemie spod okupacji niemieckiej miały poważny wkład polskie oddziały. Pamiętamy, że to właśnie Polacy w maju 1945 r. przynieśli wolność naszemu miastu Melnik.

Wkroczenie naszych krajów na drogę budownictwa socjalistycznego nie tylko rozszerzyło wymianę kulturalną, ale wzbogaciło i urozmaiciło jej formy. Mam tu na myśli zarówno wzmożenie działalności przekładowej, wiele nowych tłumaczeń książek naszych i waszych pisarzy, jak też daleko posuniętą współpracę wszystkich stowarzyszeń twórczych Czechosłowacji i Polski, rozległe kontakty plastyków, filmowców, reżyserów teatralnych i aktorów. Często gościmy w naszym kraju przedstawicieli kultury polskiej. Władysław Broniewski, którego utwory tłumaczył w Czechosłowacji Jan Pilar, niemal rokrocznie odwiedzał Słowackie Tatry, odpowiadała mu bardzo tamtejsza przyroda. Te wizyty twórców służyły często nawiązywaniu osobistych przyjaźni, co ma na pewno także duże znaczenie. Franciszek Halas, pierwszy pisarz czeski, który w r. 1947 odwiedził Polskę przecierając niejako szlaki przyszłych, ożywionych kontaktów, był szczerze zaprzyjaźniony z Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim. Rezultatem tych spotkań są ciekawe inicjatywy wydawnicze. Można bez żadnej przesady powiedzieć, że w Czechosłowacji przełożono całą polską klasykę i czyni się nieustanne wysiłki, aby na bieżąco zapoznawać czytelników z najwybitniejszymi osiągnięciami polskiej poezji i prozy. Dobrze są u nas znane utwory Jerzego Andrzejewskiego, Kazimierza Brandysa, Tadeusza Brezy, Juliana Przybosia, Stanisława Grochowiaka, że sięgnę po pierwsze z brzegu przykłady. Śledzimy też na bieżąco waszą produkcję kinematograficzną. Nasi reżyserzy filmowi często powierzają role polskim aktorom. W czechosłowackiej telewizji zaś chętnie prezentowane są utwory polskich autorów. Szczególnie ożywione, jak zawsze, były kontakty teatralne i to nie tylko pomiędzy Pragą i Warszawą, ale także pomiędzy miastami wojewódzkimi.

**„ODGŁOSY": Czy te rozległe stosunki kulturalne odpowiadają swoimi rozmiarami obustronnym zainteresowaniom życiem artystycznym Polski i Czechosłowacji? Jak Pan ocenia perspektywy dalszego pogłębienia wymiany kulturalnej między naszymi krajami?**

**DR VACLAV VANEK:** Istnieje niewątpliwie potrzeba ciągłego rozszerzania naszych wzajemnych kontaktów kulturalnych. Wyraźną poprawę można odnotować po wizycie w Pradze ministra Stefana Jędrychowskiego, którego witaliśmy z sympatią jako rzecznika zbliżenia między Polską a Czechosłowacją. Ta przyjacielska wizyta stworzyła dobre perspektywy zacieśnienia naszych stosunków kulturalnych.

Podpisaliśmy już umowę o wymianie kulturalnej z Polską w roku bieżącym. Jej realizacja przyczyni się z całą pewnością do lepszego poznania zjawisk artystycznych w naszych krajach z korzyścią dla obu stron. Pierwszą jaskółką tych nowych perspektyw jest otwarta właśnie w Muzeum Sztuki w Łodzi wystawa prac wybitnego czeskiego malarza spod znaku surrealizmu Jindricha Styrsky'ego. Aktualnie uzgadniane są szczegółowe porozumienia do umowy o wymianie kulturalnej między Polską i Czechosłowacją. Zamiary są bardzo ambitne, co pozwala przypuszczać, że rok bieżący będzie pomyślny dla wzajemnych stosunków kulturalnych polsko-czechosłowackich.

**Rozmowę przeprowadził:**

**KONRAD FREJDLICH**

JINDŘICH ŠTYRSKÝ „COLLAGE"

*Fot. T. Kołodziejczak*

IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

# Do poetów należy czas...

Po raz pierwszy w Polsce, Muzeum Sztuki w Łodzi prezentuje dzieło Jindricha Styrsky'ego, przedstawiciela czeskiej awangardy międzywojennej, przeżywającego dziś po latach całkowitego zapomnienia, swój pośmiertny renesans.

Pojęcie awangardy — nieprecyzyjne i wieloznaczne — jest tu dla nas szczególnie myląc. Przyzwyczajeni do polskiej tradycji sztuki awangardowej, grawitującej niemal wyłącznie wokół formuły konstruktywizmu — przykład sztuki Styrsky'ego *) gotowi jesteśmy łączyć z innym określeniem. Jest to wynikiem małej, niestety, znajomości kultury i historii rozwoju sztuki u naszego południowego sąsiada. Bowiem kiedy u nas rozwój sztuki nowoczesnej kształtował się w kierunku rozwiązań formalno-plastycznych i doświadczeń laboratoryjnych w zakresie „czystej plastyki", w Czechosłowacji rozwój ten szedł głównie drogą poszukiwań treściowo-literackich. Dlatego w Polsce międzywojennej awangarda w sztuce przyjęła kształt konstruktywizmu; w Czechosłowacji zaś — choć nie wyłącznie — nadrealizmu.

Również twórczość zmarłego w 1942 roku Jindřicha Štyrsky'ego tkwi w formule nadrealizmu. Krótkie życie Štyrsky'ego wypełnione było niezwykle obfitą działalnością jako plastyka, poety, teoretyka sztuki, fotografika. W plastyce malarz i grafik, ilustrator literatury i scenograf, pracował pośpiesznie, usiłując jednocześnie każdą ze swych prac podporządkować własnemu systemowi teoretycznemu zwanemu najpierw „artyficjalizmem", potem zaś określanemu ogólnie jako imaginatywizm.

Kierunki te, będące odmianą surrealizmu, różnią się jednak znacznie od tego, czym był klasyczny nadrealizm francuski. Jeśli bowiem Breton traktował sztukę jako czysty automatyzm psychiczny, Štyrský a także inni imaginatywiści jak Nerval czy Teige, tworząc dzieło sztuki do konywali logicznej selekcji materiału psychicznego gromadzonego przez świadomość artysty. Obraz lub wiersz imaginatywny jest zapisem konkretnych i nieprzypadkowych chwil, faktów i zdarzeń, którym dopiero twórca nada je wymiar subiektywny. Sztuka ta więc jest bliższa codziennej egzystencji człowieka. Jest humanistyczna, chociaż daleka od optymizmu. Dlatego zabudowa obrazu składająca się tu z elementów pozornie sprzecznych wzajemnie, w końcowym efekcie jest harmonijna i pozbawiona tak typowego dla nadrealizmu prowokacyjnego charakteru wobec widza.

W warstwie filozoficznej twórczość Štyrsky'ego ogniskuje się wokół problemu przemijania, pojmowanego jako stawanie się i zacieranie rzeczywistości w czasie w miarę następowania nowych wydarzeń. Wszystko co jest dzisiaj, zweryfikuje historia, dlatego nikt nie jest zupełnie pewien, co jest naprawdę wielkie, co zaś małe i nieistotne. I dlatego sprawą artysty jest utrwalać, chwytać przeżycia zarówno doniosłe, jak i drobne — i z natury rzeczy — przelotne i nietrwałe.

Uświadamiany nieustannie rozmiar cierpień jednostki powoduje, że w ostatnim okresie życia twórczość Štyrsky'ego charakteryzuje daleko posunięta intensyfikacja w rejestrowaniu strzępów zdarzeń, przeżyć i zjawisk. Rytm uciekającego czasu, szybkość przemijania, przedstawia Štyrsky w formie odprysków rzeczywistości rzucanych na płaszczyznę, obrazów w taki sposób, że kotłuje się tam wiele niezależnych od siebie planów, aż do momentu, kiedy zdarzenia dawniejsze upodobnią się do późniejszych. W tej twórczości wszystko dzieje się dziś, wczoraj i jutro jednocześnie i nic nie może stanowić ostatecznej wartości, bo zmienność czasu jest miarą ludzkiego postępowania i tylko w takiej relacji dzieło artysty może przetrwać lub zginąć. Ten nieprzypadkowy chyba pesymizm artysty otrzymał najgorsze potwierdzenie w nadejściu czasów pogardy, których końca sam Styrsky miał już nie doczekać.

Wynikała istota tej twórczości również i z konstrukcji psychicznej artysty, z jego niewątpliwej nadwrażliwości. Dlatego ilustruje Styrsky poezje Nervala i Lautréamonta — tych poetów, którzy byli mu psychicznie najbliżsi. Podobnie można wytłumaczyć fakt, że sztuka jego do ostatnich dni życia jest jawnie antyreligijna. Była to bowiem walka poety z hierarchią wartości statycznych, nie do pogodzenia z filozofią twórczą przemijania i zacierania przez czas.

Przywieziona przez Galerię Narodową w Pradze, wystawa pokazuje retrospektywnie koleje drogi twórczej Jindřicha Štyrsky'ego. Od lat dwudziestych, kiedy kształt artystyczny jego plastyki określa jeszcze kubizm, poprzez okres łączenia elementów kubistycznych z poetyką nadrealizmu, aż do ostatnich collage'ów i obrazów olejnych będących w pełni oryginalną wizją plastyczną czeskiego artysty. To piętno odmiennego widzenia nosi również kilka fotogramów eksponowanych na wystawie. I właśnie fotografia, będąca przecież odbiciem konkretnej materialnej rzeczywistości, najlepiej sprawdza autentyczność idei artystycznej Štyrsky'ego. Idei, którą najprecyzyjniej i najpiękniej sformułował sam twórca. *„Historia jest niczym innym, jak powolnym, zadziwiającym znikaniem prawdy w czasie. Dlatego imiona poetów są zawsze zespolone z ruinami i cieniami. Wszystko, co poeta porzuci, posiwieje i zamieni się w popiół. Radością poetów jest obserwować, jak nicość zżera kształty niegdyś piękne, jak pustka szerzy się w sercach niegdyś świeżych, jak wszystko dokoła dojrzewa do śmierci, jak wszystko przemija, podczas gdy ich sercom odmawia się dobrodziejstwa starzenia się. Do poetów nie należy dzień dzisiejszy ani jutrzejszy, do poetów należy czas"* **).

W Pradze Rilkego i Kafki to kirkegaardowskie echo brzmi naturalnie i szczerze.

---

*) Jindrich Styrsky — malarstwo, rysunek, collage, fotografia. Muzeum Sztuki w Łodzi — 26 marzec — 5 maj 1969.

**) Cytat za Vera Linhartową. — Przedmowa katalogu wystawy

*Fot. A. Wach*

MAREK KRUZEROWSKI

# DOM PRZY ulicy SKRZYWANA

Wystają przed bramami. Palą papierosy. Od czasu do czasu strzykają śliną. Kiedy zapadnie zmrok pójdą, do parku. Wypiją wino. Spotkają dziewczyny.

W większości nie mają siedemnastu lat, wśród nich jeszcze młodsi: trzynasto-czternastolatki; przeżywają swój trudny okres. Wyrastają z dzieciństwa.

Do Izby Dziecka przy ulicy Skrzywana trafiają ci, którzy uciekają z domu, z zakładu wychowawczego lub ci, co zostali złapani na kradzieży. Jest ich rocznie dwa tysiące sześćset.

Kierowniczka Izby — porucznik Hanna Kupińska pokazuje mi fragment zwierzeń napisanych przez jedną z zatrzymanych na dworcu dziewcząt.

*„Kiedy dostałam za to siedemset złotych, zrozumiałam, że zostanę prostytutką".*

Kierowniczka mówi o swoich podopiecznych ciepło i serdecznie.

— Ich psychikę zubożają pierwsze doświadczenia; to co obserwują w domu, ma na nie degenerujący wpływ. Te dziewczęta pochodzą najczęściej z rozbitych małżeństw. Najczęściej nie mają nawet własnego kąta do spania.

*„Gdybym zrozumiała wcześniej, to co zrobiłam, może jeszcze dałoby się naprawić tę sytuację, choć jeszcze teraz pragnę i mam nadzieję, że mi się uda".*

— Potem chcą z tym zerwać. Lecz jest to bardzo trudne. Stare, doświadczone nierządnice, za swoją opiekę, za brudny kąt do spania, za to, że wydawały się na początku lepsze od matek tych uciekinierek, zaczynają żądać zapłaty. A pieniądze trzeba zarobić. Zna ją tylko jeden sposób.

*„Kończę już i jeszcze raz proszę, żeby mi ktokolwiek pomógł. Błagam! Bo stanie się straszna rzecz! Ratujcie mnie!"*

Niektóre z dziewcząt uciekają od swych „opiekunek". Staramy się wtedy otoczyć je serdeczną opieką. Pomagamy znaleźć pracę. Zapisujemy do szkoły.

Dziś kierowniczka Izby wyznaczyła konsultacje rodzicom dwóch chłopców, którzy zatrzymani zostali gdzieś w Szczecińskiem. Oprócz nas, tzn. kierownika i mnie, są jeszcze: psychiatra, kierownik Ośrodka Profilaktyki Przestępstw Nieletnich dr Jerzy Redlich i psycholog mgr Adam Dinter, oraz dwie studentki, które pełnią funkcje kuratorów społecznych w ramach współpracy Zrzeszenia Studentów Polskich z Izbą Dziecka.

Stasiek przyszedł z matką. Jarek z ojcem. Chłopcy mieszkają w tym samym domu i chodzą do tej samej szkoły. Chociaż ostatnio częściej do niej nie chodzą.

Matka odpowiada na pytania, dotyczące wczesnego dzieciństwa syna. Przeżywa tę wizytę. Po co tamte dwie młode dziewczyny? Spogląda na nie z ciekawością i nieufnie.

— Kiedy zaczęły się pani kłopoty z synem?

— Jak skończył dziesięć lat. Zaraz po urodzeniu się mojego drugiego dziecka. Młodszy ma teraz cztery lata.

— Proszę nam opowiedzieć dokładnie, co to były za kłopoty?

— Zaczął wagarować. Przynosił coraz gorsze stopnie. Był nieposłuszny. Pobił braciszka. Bił go pasem — takie maleństwo. Nie miało wtedy pół roczku. — Zaczęły się ucieczki. Zabierał z domu pieniądze. Ostatnio zabrał zegarek męża.

— Jak pani mąż zareagował?

— A co miał robić. Początkowo starał się tłumaczyć, a potem... potem to lał pasem. Ale to nic a nic nie pomagało. I tak męczymy się z nim już trzy lata.

Kobiecie drży głos. Nerwowo splata palce.

— Czy mąż pije alkohol?

— Jak to mężczyzna. Nie jest nałogowym pijakiem. Czasami przychodzi do domu nietrzeźwy, ale nie awanturuje się.

— Kogo syn bardziej słucha w domu?

— Męża. Na mnie się rzuca. Nie pozwala się uderzyć. Próbuje oddać. Męża się więcej boi.

Dr Redlich wyjaśnia, że razem z mgr Dinterem przeprowadzili serię badań socjometrycznych stuosobowej grupy nieletnich zatrzymanych w Izbie Dziecka. Wykazały one, że wśród tych dzieci w trzech czwartych stwierdzono zaburzenia charakterologiczne.

Jeszcze kilka pytań. Matka odpowiada na wszystkie. Wie, że chcą jej tu pomóc.

— Dziękujemy pani. Proszę poczekać, musimy jeszcze porozmawiać z synem.

Na chwilę zostajemy sami.

— Typowy błąd wychowawczy — mówi psycholog — Matka nie potrafiła w porę rozwiać niepokoju dziecka. Nie okazała mu zainteresowania i serdeczności, tak bardzo potrzebnych dziecku, kiedy na horyzoncie ukazał się konkurent młodszy brat. On odebrał mu to wszystko, czego potrzebował najbardziej: przywileje, zabawki, uczucie rodziców. U dzieci starszych zazdrość przejawia się w pośrednich formach agresywności, takich jak dokuczanie i znęcanie się, wyniosłość i pogarda dla innych, okazywanie swej przewagi w innych dziedzinach, często niedozwolonych np. palenie papierosów, picie alkoholu.

Wchodzi chłopiec. Jest onieśmielony. Pierwsze pytania. Ciepłe i życzliwe. Stasiek odpowiada najpierw niesmiało, potem coraz płynniej.

— Czy dobrze się uczysz w szkole? Dlaczego masz kłopoty z nauką? Czy chciałbyś aby pomagała ci ktoraś ze studentek? Dlaczego uciekałeś? Czym bije cię ojciec? Dlaczego zabierałes pieniądze i zegarek? Czy pijesz i palisz?

Jego odpowiedzi są logiczne i przebija z nich szczerość.

Znow zaglądam do teczki, w której przechowywane są prace pisane przez dzieci w Izbie.

Barbara — lat czternaście: *„Opuściłam dom z powodu szkolnej wywiadówki. Miałam dwie oceny niedostateczne i mamusia i tatuś chcieli mnie zbić".*

Antoni — lat dziesięć: *„Uciekłem z domu bo tata mnie bił. Przychodził pijany i awanturował się w domu".*

Teresa — lat piętnaście: *„Mama robi mi wymówki, że jestem niepotrzebnym dzieckiem. Mama nie pracuje i nie mamy własnego mieszkania".*

Danuta — lat trzynaście: *Jestem dzieckiem panieńskim. Miałam siedem lat jak mamusia wyszła za mąż. Kiedy urodził się Adaś, babcia powiedziała mi, że nie mam ojca. Wtedy zaczęłam uciekać".*

A więc najpierw są wagary. Przez cały dzień na wolności zamiast w twardej szkolnej ławce. Podwójne życie. W domu jakby nigdy nic. „W szkole wszystko w porządku" — odpowiadają zapytani przez rodziców.

Chłopiec wychodzi. Jeszcze raz rozmowa z jego matką.

— Bicie wypacza psychikę. Dziecko bite staje się niewrażliwe na wszelką perswazję i środki łagodne, a rodzice nabierają przekonania, że jedynie skuteczna jest kara cielesna i w ten sposób kara staje się systemem. Bicie budzi skłonność do agresji i okrucieństwa. Do karzącego czuje się żal i wrogość. Dziecko bite rzadziej przeżywa poczucie winy i chęć naprawienia zła, jakie wyrządziło. Bicie prowadzi do rozwinięcia się w dziecku skrytości i nieszczerości, tendencji do kłamstw i oszukiwania.

— Tak. Nie uderzę go już nigdy więcej i mężowi nie pozwolę — mówi matka.

— Niech pani przyjdzie do nas jak najszybciej — zwraca się do studentki, która postanowiła pomagać Staśkowi w matematyce.

Ta rozmowa trwała dwie i pół godziny.

*

Jest ojciec z synem Jarkiem. On także przeżywa tę wizytę. Znów pytania. Kiedy zaczynamy rozmawiać o ucieczkach chłopca z domu, smutnieje.

— Proszę i mówię, i tłumaczę. A kiedy to nie pomaga, to muszę mu przylać. — Ostatnio, nie powiem, trzy razy go taką gumą od pralki ściągnąłem przez tyłek, aż mu taka bania wyskoczyła, że żal mi się go zrobiło.

Jeszcze raz trzeba tłumaczyć od początku, że nie wolno bić. Że to bardziej szkodzi niż pomaga.

— Więc jak karać? — pyta ojciec.

Trzeba tłumaczyć długo i cierpliwie.

— Karą jest już sama dezaprobata wyrażona w sposobie bycia albo słowach rodziców. Można upomnieć poważnym tonem. Można udzielić wymówki lub nagany w tonie ostrym, ale bez gniewu i uniesienia, i połączyć je z ostrzeżeniem i ochłodzeniem na pewien czas serdecznego stosunku rodziców. Dziecko boi się utracić tych, których kocha i do których jest przywiązane. I choć tego nie ujawnia, głęboko i boleśnie przeżywa taką pozorną karę. Nie należy karać bez wysłuchania wyjaśnień i ewentualnych usprawiedliwień, a skrucha zawsze musi wpłynąć łagodząco. Nie wolno poniżać, godzić w ambicję i godność osobistą dziecka!

Ojciec słucha uważnie.

— Tak. To wszystko racja — mówi.

— Czy pan pije?

— Tyle razy już postanawiałem obejść się bez kieliszka, ale tak to jakoś jest, jak się spotka kumpli.

— Musi pan przestać pić, koniecznie, jeśli chce pan wychować syna na dobrego człowieka.

A Jarek? Zaopiekuje się nim druga z obecnych tu studentek.

*

Wychodzą. Zostaje jeszcze tylko trójka pedagogów. Pani porucznik reprezentuje pedagogiczny optymizm:

— Nie ma dzieci zupełnie złych. Zawsze można rozwinąć ich charakter, zainteresowania i uzdolnienia. Są one, po prostu, plastyczne w sensie wychowawczym. Praktyka dowiodła, że można całkowicie przekształcić postawę życiową dzieci, choćby były najbardziej zaniedbane. Trzeba znaleźć tylko odpowiednie i właściwe metody wychowawcze. Dlatego musimy współdziałać i ze szkołą i z rodziną. Sama Izba — to zbyt mało.

Dwa tysiące sześćset dzieci przewinęło się w zeszłym roku przez Izbę Dziecka przy ulicy Skrzywana. Wiele wśród nich było takich, jak pięcioletni Adaś. Wsiadł w Koluszkach do pociągu i przyjechał do Łodzi. Na dworcu zaopiekował się nim funkcjonariusz milicji i radiowozem przywiózł go do Izby. Lekarz stwierdził u dziecka chorobę nerwową i dziś Adaś jest w szpitalu, na oddziale neurologicznym.

Raz jeszcze przeglądam teczkę z pracami dzieci. Piszą: *„Dopiero teraz rozumiem, że robiłem źle. Nikomu nie radzę słuchać kolegów, bo koledzy są dobrzy jak się z nimi chodzi, dla nich coś robi, a potem o wszystkim zapomną, i jeszcze wypominają".*

*„Właściwie to mam dwie twarze: mogę kraść, przeklinać, a wystarczy aby mnie ktoś pogłaskał i już lecą mi łzy" — Elżbieta, lat 16.*

Dzieci lubią rysować. Przeglądam kilkanaście rysunków. Są naiwne i uproszczone, lecz po swojemu piękne i pomysłowe. Ważne jest w nich to, co się na rysunku dzieje, co robią przedstawieni ludzie. Przebija z nich i powaga i smutek i marzenia dziecięce.

Najczęściej powtarzają się tytuły „Tak wygląda mój dom" i „Rodzice karzą dzieci".

Teraz słucham tylko, o czym rozmawiają lekarz psychiatra, psycholog i pedagog — pani kierowniczka.

Wiele uwagi poświęcamy rodzicom. Musimy im udowadniać, jak wiele może zdziałać ich przykład osobisty. Dziecko jest bystrym obserwatorem i chętnie naśladuje każde uchybienie dorosłych.

W większości wypadków pierwszy kieliszek wódki dostawały dzieci z rąk dorosłych. W ich mniemaniu picie alkoholu jest wyrazem dorosłości, stanowi formę protestu przeciw ograniczaniu swobody przez rodziców.

Dla wieku dorastania bolesne bywa zachwianie autorytetu rodziców. To wcale nie znaczy, że nieograniczony początkowo autorytet, w miarę dorastania dzieci maleje do zera. Ojciec np. majster, wieloletni praktyk w jakiejś gałęzi produkcji, może na zawsze pozostać autorytetem dla syna, który jest nawet inżynierem. Muszą tylko reprezentować wobec dzieci wartości osobiste, zwłaszcza moralne, wtedy zatrzymują swój rodzicielski autorytet aż do śmierci. Ci rodzice, których słowa nie idą w parze z czynami, tracą autorytet szybko i bez powrotnie.

Wychodzę. Noc jest chłodna i wilgotna. Mijam bramy, w których stoją chłopcy, dzieci jeszcze, z nieodłącznym petem w ustach. Za godzinę ta brama będzie zamknięta — jak wszystkie inne w mieście.

I tylko ze szczelnie zamkniętych mieszkań, poprzez szpary drzwi wydobywa się ciepłe, przesiąknięte domowym zapachem powietrze, które skrapla się na chłodnym suficie sieni.

## PÓŁKA z książkami

### WIELKOŚĆ I UPADEK POETY

**Fragmenty książki Krystyny Jabłońskiej o Kazimierzu Tetmajerze publikowała w swoim czasie prasa literacka i już wówczas budziły one spore zainteresowanie. Jest to o tyle zrozumiałe, że zawsze budzą ciekawość wszelkie biografie mówiące o życiu prywatnym ludzi sztuki, książki pokazujące artystów w szlafroku i pantoflach. Ale książka Jabłońskiej nie epatuje pikantnymi szczegółikami choć np. rozdział „Urocze babiszony" mówi sporo o romansowych przygodach poety. Próba biografii Kazimierza Tetmajera budzi zainteresowanie po prostu dlatego, że jest to bodaj pierwsza kompletne opracowanie dotyczące życia tego tak popularnego, kiedyś poety.**

**Autorka wykorzystuje w swej pracy dziesiątki niepublikowanych listów, cytuje pamiętniki drzemiące jeszcze w dziale rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej, sięga do starych dokumentów archiwalnych — słowem wydobywa na światło dzienne szereg nieznanych spraw i momentów.**

**Dowiadujemy się zresztą z książki Jabłońskiej wszystkiego o długim życiu poety — o jego zabawnych nieraz — perypetiach z wydawcami, o jego drodze do sławy i tragicznej drodze od sławy do zapomnienia, kiedy już go nie chciano drukować. Jest to pasjonująca, ale smutna książka o artyście, którego los wyniósł na szczyty popularności, aby potem pozostawić w zapomnieniu — zniedołężniałego starca nad szklanką piwa w Hotelu Europejskim.**

Krystyna Jabłońska „Kazimierz Tetmajer. Próba biografii". Wydawnictwo Literackie 1969. Cena 35 zł.

### PROSZĘ WSTAĆ!

**O tomie reportaży sądowych Krystyny Golańskiej ktoś już napisał, iż jest to książka „że proszę siadać". Rzeczywiście. Co prawda mówi się, że reportaże sądowe są czytelniczym „samograjem", ale Golańska uniknęła taniej sensacji. Ta książka jest spojrzeniem na współczesność przez „szkiełko i oko" paragrafu, ale jest to spojrzenie mądre — każdy reportaż to jednocześnie sygnalizacja jakiegoś ogólniejszego problemu.**

**Choćby sprawa żony nieżyjącego pisarza Wacława Gąsiorowskiego, która przez siedem lat musiała na drodze sądowej dochodzić swoich słusznych praw do honorarium za powieść męża pt. „Księżna Łowicka" opublikowaną w pewnym wydawnictwie. Golańska sygnalizuje tu problem szerszy. Z jednej strony państwowa instytucja zasobna w pieniądze, czas i radców prawnych — z drugiej zaś samotny człowiek i jego słuszne racje. Aby te słuszne racje zwyciężyły trzeba nieraz uporu i... 7 lat procesowania z potężną instytucją.**

**W książce Golańskiej znajdziemy i inne pasjonujące problemy — jaki powinien być „dobry adwokat", czy lekarz, który ziekceważył śmiertelnie chorego pacjenta (w efekcie nastąpił zgon) ma odpowiadać za niedopatrzenie obowiązku służbowego, czy malarz może sprzedać za złote polskie swój obraz cudzoziemcowi... Jest podobnych spraw bez liku. Golańska niejednokrotnie wskazuje na nieprecyzyjność przepisów prawnych, na luki w nich istniejące.**

Krystyna Golańska „Proszę wstać" Wydawnictwo Łódzkie, cena 20 zł.

# Problemy 32 tysięcy

## D. c. ze str. 1

Naszym rozmówcą jest przewodniczący Zarządu Okręgu Zw. Zaw. Pracowników Służby Zdrowia w Łodzi dr med. HENRYK SUŁAT.

**— Panie doktorze, pacjenci narzekają, że lekarze — bo o nich będziemy mówić na wstępie — poświęcają im za mało czasu. Uwzględniając najniższe i najwyższe wymagania — rzeczywistych i potencjalnych pacjentów — zgodni jesteśmy przyznać im pełną rację, czynią to także sami... lekarze. Obserwuje się tak wielkie zbiurokratyzowanie lecznictwa, że porównanie z klęską nie będzie chyba przesadą. Papiery — wykazy, sprawozdania, statystyki, protokoły, opisy, rejestracja — nie wiem czy język polski mimo swego bogactwa wszystko określa — przesłaniają podopiecznego. Czynności biurokratyczne dotyczą w równej mierze dyrektora szpitala, co lekarza przemysłowego i wszystkich innych na „szczeblach" i w „pionach". Czy aby nie popadliśmy w przesadę i kult fetyszów?**

— Istotnie praca lekarska jest zbiurokratyzowana. Wszystkie informacje, które uzyskuje się drogą wypisywania dziesiątków różnorodnych formularzy są w wielu wypadkach potrzebne i to nie tylko dla celów statystycznych lecz dla samych lekarzy dla uzyskania pełnego obrazu choroby, jej przyczyny, określenia warunków powstawania zagrożenia zdrowia, dla celów profilaktycznych itd. itp. Natomiast powstaje inne pytanie: czy to wszystko powinien robić lekarz?

Szpitale narzekają, że pracujemy jak w średniowieczu z tą różnicą, że nie gęsie pióro, a długopis mamy w ręku. Piszemy codziennie, systematycznie, planowo borykając się z obliczeniami i bilansowaniem pionowych i poziomych rubryk piszemy protokoły operacji i opisujemy stanowiska pracy robotnika, opiniujemy i orzekamy, zresztą nie będę wymieniał, nawet myśl o tym denerwuje. Jesteśmy sprowadzani do roli automatów a tymczasem świat idzie naprzód i w wielu państwach, że wymienię dla przykładu sąsiadów — Związek Radziecki i Czechosłowację — wprowadza się na użytek lecznictwa postęp techniczny, z dyktafonami i magnetofonami na czele, z halami maszyn i personelem biurowym w zapleczu. U nas tylko niektóre kliniki pozwalają sobie nieśmiało na luksus posiadania magnetofonu. A przecież... i tu znów powstaje pytanie: czy warto kształcić lekarza kosztem 300 tys. zł (tyle kosztują studia „na głowę") do roboty administracyjnej? Wykształcenie sekretarki kosztuje 3—4 tys. zł. Wyspecjalizowanie sekretarek dla służby zdrowia nie jest trudną sprawą. Lepiej posadzić tam gdzie jest robota papierkowa sekretarkę i oszczędzić lekarzowi czasu dla pacjenta. U nas wytworzyła się pewna nielogiczność: z jednej strony wymaga się od lekarza aktywnej opieki nad pacjentem, z drugiej strony wymaga się od niego administracyjno-buchalteryjnej roboty może i ważnej dla statystyki, ale szkodliwej w konsekwencji dla pacjenta. To są sprawy, którymi zajmuje się związek zawodowy przechodząc od stwierdzeń do wniosków pod adresem resortu.

**— Kwestia inna zaprząta nieustannie opinię publiczną a także środowisko pracowników służby zdrowia, a mianowicie szeroko i szczegółowo traktowana etyka. I to nie tylko lekarska, ale w ogóle etyka służby zdrowia. Jej konto może być obciążone tak samo niewłaściwą postawą lekarza, jak i postawą pielęgniarki a nawet salowej.**

— Słusznie. A dotyczy to w równej mierze wielkiego miasta jak i głębokiej prowincji i wszystkich pracowników służby zdrowia, którzy mają do czynienia z pacjentami a więc także rejestratorek i portierów szpitalnych. Sekcja lekarska naszego związku zajmuje się ostatnio organizowaniem w terenie swych delegatur, które przyjmują na siebie obowiązek podnoszenia etyki zawodowej. Specjalne plenum związku odbyło się w tej sprawie w maju ub. roku, a w lutym br. zajmowało się tymi zagadnieniami Polskie T-wo Lekarskie, Sekcja lekarska przy Zarządzie Okręgu Zw. Zaw. i Sekcja Medycyny Społecznej PTL.

**— Chciałabym podnieść sprawę niepopularną w środowisku lekarskim, ale chyba bardzo istotną w aspekcie etyki zawodowej — prywatną praktykę. — Jest to temat powszechnie dyskutowany i w konkluzji dyskusji prywatna praktyka uznana jest za anachronizm w ustroju socjalistycznym. Z drugiej strony zaspokaja w części potrzeby, których społeczna służba zdrowia jeszcze zaspokoić nie może. Dotyczy to prowincji.**

— Jedno i drugie jest słuszne. Faktem jest, że lekarze pracując jednocześnie w placówkach lecznictwa uspołecznionego i własnych gabinetach wykorzystują niejednokrotnie uprawnienia przysługujące im z tytułu pełnionej funkcji dla utrzymania lub zdobywania prywatnych pacjentów. Stwarza to warunki nawet do wykorzystywania społecznego lecznictwa: wypisania recepty ulgowej lub bezpłatnej na receptariuszu instytucji, zwolnienie z pracy w prywatnym gabinecie, zapewnienie miejsca w szpitalu poza kolejnością itp. W końcu lekarz brnie w konflikty z etyką i prawem. Sprawa urasta do rangi społecznego problemu. Jego rozwiązanie musi polegać na stworzeniu takich warunków, aby lekarze mogli poświęcać cały swój czas uspołecznionej służbie zdrowia, która świadczyć może także odpłatnie usługi wobec nieubezpieczonych pacjentów. W pewnej mierze spełniają te warunki spółdzielnie lekarskie.

**— Rozważając w dalszym ciągu stosunki pomiędzy lekarzami i pacjentami chciałbym znać pogląd Związku na zatrudnienie lekarzy w kilku placówkach jednocześnie. Jednoczesność należy rozumieć niemal dosłownie, bo czas pracy w jednej, drugiej czy trzeciej placówce nakłada się na siebie i powoduje nieobojętną w skutkach niepunktualność.**

— Dążymy do zachowania tylko dwoch miejsc pracy dla jednego lekarza. W Łodzi jest ta sprawa rozwiązywana przez łączenie lecznictwa otwartego z zamkniętym. Lekarze zatrudnieni etatowo w rejonach pracują określoną ilość godzin dodatkowo w szpitalach i mają ciągłość opieki leczniczej i kontrolnej nad pacjentami. Do ideału jeszcze daleko, bo chociaż w Łodzi jest dużo lekarzy, to jednak jeszcze wielu brakuje do pełnej obsady wszystkich placówek lecznictwa. W województwie sytuacja przedstawia się gorzej, bo lekarzy jest znacznie mniej i muszą dzielić swą dyspozycyjność usługową pomiędzy lecznictwo zamknięte, otwarte, przemysłowe i szkolne. I w województwie jeszcze wielu lekarzy rejonowych pełni funkcje pośredników pomiędzy pacjentem a specjalistą, pacjentem a szpitalem.

**— Skoro jesteśmy przy „niedoborze" lekarzy w terenie to pozwolę sobie na zadanie dwóch pytań: czy znaleziono sposoby na zapewnienie mieszkań lekarzom, położnym (także farmaceutom i pielęgniarkom) i co się dzieje ze środkami transportowymi, bez których czynne poradnictwo jest fikcją.**

— W miastach powiatowych i na wsi problem mieszkań dla pracowników służby zdrowia bliski jest rozwiązania. Mieszkania buduje się razem z obiektami lecznictwa, a więc bloki przy szpitalach i lokale mieszkalne w wiejskich ośrodkach zdrowia. Natomiast problemem są mieszkania w małych miasteczkach. Nie ma innego wyjścia jak utworzenie funduszu na budowę mieszkań dla lekarzy i farmaceutów jak to jest z domami dla nauczycieli. Sytuacja mieszkaniowa położnych i pielęgniarek jest najtrudniejsza. Ich osiedlanie się na wsi związane jest z przeznaczeniem połowy zarobków na komorne. Która sobie może na to pozwolić? A wieś potrzebuje aktualnie około 180 położnych. W tej sytuacji sekcja zawodowa pielęgniarek i położnych wystąpiła z wnioskiem do Ministerstwa Zdrowia o ustalenie dodatku mieszkaniowego. Jeżeli chodzi o środki transportowe, to nic się nie zmienia od lat. Dawno już obiecano lekarzom terenowym pierwszeństwo i ulgi w przydzielaniu aut, ale na obietnicy się skończyło.

**— Ostatnio obserwujemy dążenie środowiska pielęgniarskiego do podnoszenia rangi zawodu. Kto i w jakiej formie nadaje formalny wyraz temu dążeniu?**

— Zawód pielęgniarki musi formalnie osiągnąć rangę odpowiadającą rzeczywistym jego wartościom, które wynikają z czynnej opieki nad chorym, współdziałania z lekarzem i współodpowiedzialności. Tymi zagadnieniami zajmuje się Polskie Towarzystwo Pielęgniarskie, Sekcja Pielęgniarek przy Zarządzie Okręgu, jak również Sekcja przy Zarządzie Głównym Związku. Mówi się już nawet o zrealizowaniu ich projektu — powołania Wyższej Szkoły Pielęgniarskiej.

**— Zdawałoby się, że lecznictwo nie ma kłopotów z kadrą farmaceutów. Niby jest ich dużo, a tymczasem z obsadzeniem aptek, szczególnie na prowincji są trudności...**

— Magistrzy farmacji „uciekają" często do przemysłu, gdzie znajdują korzystniejsze warunki pracy. W województwie mamy największe braki, pogłębione tym że wielu farmaceutów wkracza w wiek emerytalny. Kadry kształcone przez AM przejmuje ekspansywny przemysł spożywczy i włókienniczy do swych laboratoriów. Należy więc dążyć do ujednolicenia warunków zatrudnienia w przemyśle i w aptekach, bo w przeciwnym razie skutki tych nierówności odczuwać będą podopieczni służby zdrowia.

**— Jest jeszcze jedna sprawa, natury socjalnej, dość dziwnie traktowana w służbie zdrowia, a bardzo jej bliska — rzec można pokrewna — bhp. Np. położna w terenie brnie przez błotniste drogi, ale obuwia ochronnego nie dostaje, pielęgniarka w zakładzie przemysłowym idzie na dział, w którym niszczy sobie ubranie — odzieży ochronnej nie ma, bo nie jest pracownicą zakładu itp., itd. Jeżeli obchodzimy Dzień Pracownika Służby Zdrowia pod hasłem „Zdrowie, Praca Wydajność", to pomówmy na zakończenie i o tym — wcale niemarginesowym — problemie.**

— Będzie on nareszcie uregulowany zarządzeniem Ministerstwa Zdrowia opracowanym wspólnie z Zarządem Głównym Zw. Zaw. Sprecyzowane zostaną wszystkie formy bhp w placówkach służby zdrowia. M. in. Zarządzenie powoła etatowych pracowników bhp w większych placówkach lecznictwa, a w mniejszych powierzy wykonywanie tych funkcji jednemu z pracowników administracyjnych. Spełnione zostaną również postulaty wszystkich rad zakładowych domagających się odzieży ochronnej, tym bardziej, że obietnice padły już przed wielu laty. Najwyższy czas, żeby pracownicy służby zdrowia korzystali z dobrodziejstw bhp w takim samym stopniu w jakim z tytułu swych funkcji egzekwują je w imię ochrony zdrowia od zakładów, instytucji i przedsiębiorstw.

Rozmawiała:

**ZOFIA TARNOWSKA**

# TAJEMNICA homoseksualizmu

W wielu krajach liczba homoseksualistów osiąga 5 procent liczby ogółu mężczyzn. Na przykład w NRF jest ich obecnie — według jednego z tamtejszych tygodników — około 2 mln. Pederastia oraz miłość lesbijska to źródła poważnych powikłań zarówno w intymnej sferze życia człowieka, jak i z jego otoczeniem. Dość często homoseksualizm doprowadza do katastrof. Wymieniamy tu historyczne przykłady: Oscara Wilde'a, wielkiego angielskiego poety i pisarza, podziwianego przez współczesnych a na koniec potępionego więźnia. Światowy rozgłos nabrała swego czasu afera austriackiego pułkownika Redla, opisana przez Egona Erwina Kischa, Redl, by umożliwić młodemu porucznikowi, którego kochał, wystawny tryb życia, sprzedawał carskiej Rosji tajemnice wojskowe o kapitalnym znaczeniu — mobilizacyjne, strategiczne i operacyjne plany Austro-Węgier.

Medycyna nie wykazała się dotychczas sukcesami w leczeniu homoseksualizmu, nie potrafiła skierować zboczonego popędu na właściwe tory. Zarówno hormonowa terapia jak i operacje mózgu czy też psychoterapia nie doprowadzały do celu. Tajemnica przyczyn zboczenia nie została odsłonięta. Jedni badacze uważali, że przyczyną są psychiczne zakłócenia, inni zaś, że chodzi raczej o organiczne wypaczenia.

Obecnie nauka dotarła do decydujących twierdzeń. Prof. Guenter Doerner, endokrykonolog Uniwersytetu im. Humboldta w Berlinie (NRD), opublikował w „Deutsche Medizinische Wochenschrift" opis wręcz sensacyjnych doświadczeń przeprowadzonych na szczurach. Na podstawie rezultatu eksperymentów stwierdza, że homoseksualizm powstaje na skutek zaburzeń w gospodarce organizmu hormonami. Pierwszy raz w historii medycyny powstały konkretne szanse dla — jak to formułuje dr Doerner — hormonalnej profilaktyki homoseksualizmu.

W wyniku kilku tysięcy eksperymentów, polegających na kierowaniu gospodarką hormonalną szczurów, Doernerowi udało się, wywoływać homoseksualizm oraz kierować popędem seksualnym tych zwierząt.

System kierowania popędem seksualnym skierowanym na własną płeć znalazł dr. Doerner w określonej strefie przysadki mózgowej. Badacz stwierdza, że istnieją tam obok siebie męskie oraz żeńskie centrum seksualne, więc predyspozycje dla obu form popędu. Od ukształtowania się tych centrów zależy, czy zwierzę zachowuje się normalnie, czy też poddaje się popędowi skierowanemu na własną płeć. Przeprowadzone przez dr Doernera seryjne testy dowiodły, że rozwój centrów sterowania popędem płciowym przechodzi przez dwie fazy. Podczas pierwszej fazy, nazwanej przez Doernera organizacyjną, następującej u szczurów krótko po, a u człowieka prawdopodobnie przed urodzeniem, rosną komórki nerwów męskiego centrum seksualnego. Proces ten jest rozwijany i określany przez androgeny czyli męskie hormony seksualne.

Androgeny wywołują również drugą fazę rozwoju istniejących obok siebie centrów seksualnych, nazwaną fazą aktywizacji. Centrum reaguje już na zmysłowe podniety seksualne. Androgeny aktywizują przy tym zarówno męskie jak i żeńskie centra. Ta działalność w obu kierunkach może wywołać męski homoseksualizm: Jeśli u samców w pierwszej — organizacyjnej — fazie przypływ androgenów zostaje zahamowany, to tym samym wstrzymany jest rozwój męskiego centrum seksualnego. Gdy jednak potem, jeszcze w czasie dojrzewania zwierzęcia, wstrzykuje mu się męskie hormony seksualne, to aktywizują one żeńskie centrum. Szczur — samiec zachowuje się wskutek tego jak samiczka, staje się homoseksualistą. W podobny sposób, twierdzi Doerner, powstaje żeński homoseksualizm.

Nie wiadomo, jak po tych sensacyjnych doświadczeniach długa będzie droga medycyny do leczenia ludzkiego homoseksualizmu. Doerner uważa, że w niedalekiej przyszłości można będzie stosować injekcje hormonowe jeszcze przed urodzeniem płodu, by w ten sposób przeciwdziałać wypaczeniom w sterowaniu androgenów przez organizm. Należałoby tak postępować szczególnie w przypadkach, kiedy w rodzinie stwierdzono już homoseksualizm.

Doernerowi udało się kierować popędem seksualnym zwierząt. Teoretycznie jest to więc już dziś możliwe w przypadku ludzi, jutro zaś stanie się to kliniczną praktyką leczenia homoseksualizmu.

Wyniki badań Doernera mają również pewne efekty światopoglądowe. Istnieją teorie, że powstanie i istnienie męskiego homoseksualizmu tłumaczy się niekorzystną sytuacją chłopca w rodzinnej konstelacji jego lat dziecięcych, jego przerażeniem potęgą matki czy też siostry. Stąd wywodzi się — według psychologii indywidualnej Alfreda Adlera — ucieczka przed kobietą do choroby, czyli do homoseksualizmu. Jest to więc, wg. Adlera, proces psychogenetyczny. Doerner dowiódł obecnie, że proces ten spowodowany jest zaburzeniem w gospodarce organizmu hormonami. Warto tu również wspomnieć teorię o istnieniu, jako prawa przyrody, męsko-męskiego erosa, twórcy wszelkich wartości i wielkich społeczeństw. Wpływ tej teorii Hansa Bluehera protagonisty nowoczesnego pangermanizmu, był olbrzymi — w niemieckim kręgu kulturowym.

Przytoczyliśmy tylko dwa przykłady teorii o homoseksualiźmie, obalonych obecnie, jak wiele innych znajdujących się jeszcze w obiegu, przez Doernera. Problem stary jak świat został rozwiązany. Droga prowadzi wprost do klinicznego leczenia pederastii i lesbijskiego popędu płciowego.

(Le-Be)

MIECZYSŁAWA WALCZAK

## Czas pojedna trawa porośnie"

Pisarze naszego miasta nie jednokrotnie podejmowali tematykę łódzką, żeby tylko wymienić: Mariana Piechala, Leona Gomolickiego, Bernarda Sztajnerta, Tadeusza Chróścielewskiego, Romana Łobodę. Spośród prozaików najwierniejszym Łodzi pozostał jednak Władysław Rymkiewicz, który oprócz „Ucieczki z ziemi obiecanej" i „Konferencji u mecenasa" dał nam „cykl łódzki" oparty na trzech wielkich datach będących słupami milowymi w historii plebejskiego i robotniczego ruchu rewolucyjnego Łodzi. Dwie pierwsze powieści: „Trzystu pod Dobrą" (rok 1863), „Widok z Księżego Młyna" (rok 1892) zamyka trzecia (ale — czy ostatnia?) wydana niedawno powieść „Czas pojedna, trawa porośnie".

Dominantą kompozycyjną tej powieści jest bohater — Stefan Wojnicz, a wszelkie zdarzenia ukazane są przez pryzmat jego widzenia. Stanowi on niejako syntezę poruszanych przez autora problemów i zagadnień. Los Wojnicza jest losem tragicznym: zawiera w sobie coś z samotniczej walki doktora Judyma, trochę znów z dramatycznych dziejów Odrowąża podyktowanych niewiarą ogółu w „szlacheckie powstanie". Bohater Rymkiewicza to człowiek, który wyrzeka się swego ziemiańskiego pochodzenia, aby móc oddać się bez reszty walce o wyzwolenie narodowe i społeczne. Na tle różnicy poglądów wyrasta konflikt pomiędzy nim a towarzyszami partii do której należy, a także między nim a warstwą, z której się wywodzi.

Dla podkreślenia jego wewnętrznego rozdarcia autor stosuje zasadę dwóch czasów: czas teraźniejszy łączy się z przyszłym; widzenia senne, przywołanie symbolicznego obrazu „starego dworku szlacheckiego z białymi kolumnami" i wspomnienia o pierwszej miłości do „szalonej Julki", przeplatają się z bieżącymi wydarzeniami, których Wojnicz jest obserwatorem i uczestnikiem. Jego wypowiedzi przechodzą często w monolog wewnętrzny, odzwierciedlając nieuporządkowany, zakłócony i nerwowy tok myśli. On sam przemawia to w pierwszej, to znów w trzeciej osobie.

Charakterystyka bohatera dokonana przez jego analizę psychologiczną staje się soczewką skupiającą jedność utworu. Autor skazuje swego bohatera na potrójne samookreślenie: ze względu na przekonania i przynależność partyjną, wybór pomiędzy klasą z której się wywodzi a środowiskiem, z którym jest silnie związany wspólną ideą walki, wreszcie na wybór najbardziej osobisty — miłość. Wszystkie te wybory uzależniają się wzajemnie, tworząc nić skomplikowanych splotów sytuacyjnych.

Nie umiejąc znaleźć wyjścia z sytuacji, odtrącony przez obie społeczności: „szedł (Wojnicz) po rumowisku powstania jak przez całe swoje życie zbłąkany, zagubiony, ze świadomością poniesionej klęski... Poczuł się pusty jakby u kresu życia, oderwany od ludzi i świata do którego nie było powrotu, pusty w próżni, w której po zakończeniu walki nie pozostało nic oprócz przyszłości ponurej i bez treści". W tych kilku zdaniach zawarł autor całą syntezę życia tej pięknej w swej prawdzie i człowieczeństwie postaci. Dzięki takiemu potraktowaniu naczelnej osoby powieści, uczynił ją pisarz bliską naszym czasom, stanowi ona bowiem rejestrację niepokojów naszej epoki, a protest autora staje się protestem przeciw dawnym pojęciom i przeżytkom klasowych przynależności.

Dzięki zastosowaniu kompozycji otwartej pisarz uwypukla niespodziewaną zmienność wszelkich ludzkich poczynań a życie człowieka ukazuje jako splot zaskakujących, często chaotycznych następstw i nielogiczności. Widoczna jest tu tęsknota do normalizacji i uporządkowania ludzkich stosunków Oskarżając ówcześnie istniejącą sytuację, (to nie samo życie jest złe, ale ludzie poprzez wzajemne niezrozumienie istoty wielu spraw sami czynią je uciążliwym i nie do zniesienia) autor nasyca podtekst miłością i zrozumieniem człowieka.

Przy tej niespokojnej, emocjonalnej tonacji pisarz swobodnie operuje skondensowanymi obrazami.

Władysław Rymkiewicz swą nową powieścią sprawił naszemu miastu piękny dar. Bo chyba każdy łodzianin czytając ją powróci po raz wtóry do stronic wypełnionych opisami Łodzi i okolic konfrontując je z wyglądem obecnym, a także śledzić będzie rzeczywiste wydarzenia, które zaszły w Łodzi od stycznia do czerwca 1905 roku, jak np. potyczkę robotników z wojskiem przed fabryką Heinzla i Kunitzera, manifestacje uliczne, strajki w fabrykach Szteinerta, Geyera, Schweiherta, Richtera i innych, demonstracyjny pogrzeb pięciu poległych, przebieg walk rewolucyjnych itp.

Tytuł książki „Czas pojedna, trawa porośnie" jest poetycki i głęboki w swej wymowie. Pisarz określił w nim swój stosunek do czasu, przemijania i zapomnienia. „Dreptanie uciekającego czasu. Ale dokąd nas ten odchodzący czas zaprowadzi" — zapytuje autor.

---

Władysław Rymkiewicz: „Czas pojedna, trawa porośnie". Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1969. Cena 11 zł.

## Spektakle tygodnia

| Teatry | | Spektakle | Widzów | Procent |
|---|---|---|---|---|
| WIELKI | | | | |
| | „Rigoletto" | 1 | 860 | 70 |
| | „Jezioro łabędzie" | 1 | 1010 | 80 |
| | „Carmen" | 1 | 1010 | 80 |
| | „Così fan tutte" | 1 | 1060 | 84 |
| | „Pan Twardowski" | 1 | 1260 | 100 |
| | „Książ Igor" | 1 | 1260 | 100 |
| NOWY | | | | |
| | „Dziś do Ciebie przyjść nie mogę" | 3 | 2100 | 100 |
| | „Śluby panieńskie" | 1 | 600 | 90 |
| | „Lato" | 2 | 1000 | 75 |
| MAŁA SALA | | | | |
| | „Księżyc świeci nieszczęśliwym" | 1 | 200 | 100 |
| | „Szkoła kobiet" | 3 | 600 | 100 |
| POWSZECHNY | | | | |
| | „Kawior i kaszanka" | 2 | 1200 | 85 |
| | „Czarna komedia" | 1 | 500 | 78 |
| | „Taniec śmierci" | 1 | 400 | 78 |

TELE OBIEKTYW

## Czy go trzeba bronić?

W prasie krajowej toczy się od pewnego czasu dyskusja na temat teatru telewizji. Był on zawsze przedmiotem dumy polskiej TV, mówiono o nim „bilet wizytowy", albo: „nasz specyficznie polski wkład do rozwoju telewizji". Aż tu nagle podniosły się głosy krytyki, co w obozie „radio-telewizyjnym" wywołało nerwowość, więcej: zbulwersowanie.

Przypomina to trochę dobrego ucznia, przyzwyczajonego do najwyższych ocen, który nagle dostanie trójkę z minusem. Przeżywa to znacznie silniej niż uczniowie o średnich postępach.

W szranki ruszył sam prezes Komitetu d/s Radia i Telewizji Włodzimierz Sokorski, zamieszczając w tygodniku „RTV" artykuł pod dość dramatycznym nagłówkiem „Bronię teatru telewizji". Artykuł ten dostarcza przede wszystkim danych o rozmiarach zadań, jakie spełnia ten największy teatr w kraju.

W. Sokorski informuje, że teatr TV wystawił w ubiegłym roku 134 imprezy (oprócz tego powtórzono z zapisu telerecordingowego 16 spektakli z lat poprzednich), przy czym 76 premier z tej liczby przygotował ośrodek warszawski, a 58 — ośrodki regionalne. Wśród tych ostatnich — nie kryjmy zadowolenia! — rej wiedzie Łódź — 15 premier, za nią idą Katowice (13), Wrocław (11), Kraków i Szczecin (po 6).

Informacja z najbardziej miarodajnego źródła wskazuje jeszcze, że strukturalnie dorobek ubiegłoroczny teatru TV przedstawia się następująco: 36 premier współczesnych autorów polskich, 21 — współczesnych autorów zachodnich, 7 — autorów z krajów socjalistycznych i 69 sztuk klasycznych (tylko gwoli porządku, bo nie ma to istotniejszego znaczenia dodajmy, że prezes gdzieś się w sumowaniu o jedynkę omylił). Ze sztuk współczesnych polskich znaczna część napisana była specjalnie dla telewizji, co jak słusznie stwierdza prezes Sokorski, wskazuje na wpływ teatru TV na rozwój naszej dramaturgii.

150 spektakli rocznie, widzów na każdym spektaklu około 10 milionów! Razem więc półtora miliarda widzów! To są liczby, od których można dostać rzeczywiście zawrotu głowy. Inna rzecz, że rozrost widowni telewizyjnej dyktowany jest nie tyle sukcesami programowymi, ile tempem rozbudowy państwowej sieci nadawczej i przekaźnikowej oraz wzrostem produkcji naszego przemysłu elektronicznego.

Cokolwiek jednak powiedzielibyśmy, istnieją rzeczy bezsporne. Teatr TV w ramach całości zjawiska społeczno-kulturowego, jakim jest telewizja, spełnia poważną rolę kulturotwórczą. Przyczynia się do likwidacji peryferii i zaścianków w naszym życiu kulturalnym, pozwala w najodleglejszym zakątku kraju oglądać spektakle teatralne w wykonaniu najlepszych sił aktorskich teatru polskiego. W ten sposób krzewi się dobry smak, niweluje dysproporcje w zaspokajaniu potrzeb kulturalnych na wsi i w mieście.

Nie dostrzegać tej strony działalności teatru TV, to znaczy być ślepym, albo nie chcieć widzieć. Osiągnięć teatru TV w zakresie programowym i artystycznym także nie można negować. Należałoby więc zadać pytanie, skąd wzięły się głosy krytyki, które wywołały odpowiedź prezesa Sokorskiego?

Zarzuty podnoszone pod adresem teatru TV mają, wydaje mi się, na celu ostudzić nieco samozadowolenie, które panuje w odpowiednich redakcjach i kierownictwie telewizji. Mamy w Polsce świetny teatr, znakomitych aktorów, reżyserów i scenografów. Cała czołówka polskiego teatru współpracuje z teatrem TV, wnosząc doń swoje doświadczenie i talent.

Można by więc z pewnym uproszczeniem postawić sprawę tak: teatr TV, błyszczy światłem jasnym, ale w dużej mierze światłem zapożyczonym. Holoubek wyrósł na wspaniałego aktora na deskach scenicznych i dopiero potem teatr TV, korzystając ze swej wielkiej przekładni, rozpropagował jego aktorstwo w całym kraju. Oczywiście, nazwisko Holoubka służy nam tu jako przykład według starorzymskiej zasady pars pro toto.

Otóż krytycy teatru TV wskazują na niedostateczne wysiłki jego w kierunku znalezienia własnych telewizyjnych środków wyrazu. Oprócz nielicznych poszukiwań w tym zakresie prowadzonych przez artystów takich jak: Hanuszkiewicz, Antczak, czy Gruza, w olbrzymiej większości wypadków teatr TV godzi się z rolą przekaźnika i propagatora sztuki teatru wypracowanej poza telewizją.

Ktoś powie, że to i tak dużo. Oczywiście! Ale obok roli propagatora, czy reproduktora teatr TV powinien chyba nie zapominać o tym, że może być również kreatorem nowej sztuki: sztuki telewizji. Obrona teatru TV rozmija więc się trochę z zarzutami. Dotyka spraw oczywistych, których nikt nie neguje.

Władysław Orowski

## O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Wśród dzieł radzieckiej klasyki filmowej odnajdujemy film Jefima Dzigana „My z Kronsztadtu". 70-letni dziś reżyser powrócił do rewolucyjnego eposu w swym nowym filmie opartym na książce A. Serafimowicza „ŻELAZNY POTOK". W filmie tym sięgnął do swych starych realizatorskich doświadczeń, wzbogacając je możliwościami dzisiejszej sztuki i techniki filmowej.

Tak jak w „My z Kronsztadtu", w „Żelaznym potoku" Dżigan uczynił tematem podstawowym bohaterstwo i braterstwo ludu porwanego wielką ideą rewolucji. O zrealizowaniu tego filmu reżyser myślał już 30 lat temu. Zafascynował go autentyczny epizod z czasów rewolucji, zwany tamańską wyprawą, zafrapowała go postać dowódcy tej wyprawy Epifana Kowstiucha nazwanego w powieści i filmie Kożuchem. Aresztowanie Kowstiuchowa pokrzyżowało ówczesne plany reżyserskie, późniejsza pełna rehabilitacja bohatera autentycznych wydarzeń pozwoliła powrócić do dawnych zamierzeń. Powstał film wywodzący się z najlepszych tradycji rewolucyjnej epopei heroicznej, akcentujący patos woli i siły ludu.

Metaforyczny tytuł filmu znajduje w dziele Dżigana swe obrazowe i ideowe uzasadnienie. Długi, rozciągnięty na wielkiej przestrzeni gór i stepów pochód ludzki, ów zbiorowy bohater filmu idzie uparcie i bohatersko ku celowi. Początkowo rozbity, ogarnięty strachem, nękany głodem i atakami nieprzyjaciela, nieświadom w pełni spraw, ku którym zmierza, w trakcie wyprawy zmienia się w ów „potok żelazny". Dżigan zdołał w wiarygodny sposób uchwycić ten proces przemian świadomości ludzi, którym przywodzi uparty chłopski żołnierz rewolucji Kożuch.

Droga, którą ta masa ludzi, chłopów i żołnierzy ma odbyć, by poprzez góry Kaukazu, w walce z oddziałami „białych" dotrzeć do stepów Kubania i tam znaleźć swoich, to jednocześnie droga kształtowania się wiary i świadomości sensu rewolucji. Dzieje tego tragicznego i heroicznego marszu wymagały od reżysera mistrzostwa w konstruowaniu scen zbiorowych. Młody Dżigan z czasów „My z Kronsztadtu", dziś jako weteran kina radzieckiego potwierdził w „Żelaznym potoku" swój talent. Zdołał znakomicie wtopić ów dramat ludzkich losów, morderczego pochodu w tło kaukaskiego, a potem kubańskiego pejzażu. Odwieczne, niezmącone piękno przyrody, tonacje szarości i błękitu, ciemności nocy rozjaśnionej płonącymi pochodniami i ogniskami stanowi tło, które podkreśla dramatyzm wydarzeń, w których przyroda jest na przemian wrogiem i przyjacielem. Jej ujarzmienie to pokonanie oporu gór, wśród których kryją się wrogowie, to zwycięstwo woli nad słabością.

Te sekwencje, w których potok ludzki przedziera się przez góry odznaczają się w filmie największą sugestią obrazu i pięknem jego kompozycji.

Przy wielkich tematach nietrudno jednakże o potknięcia. Nie uniknął ich także i Dżigan, a przyznać trzeba, że aż dziwią w filmie pewne epizody nie mieszczące się w całej koncepcji filmu. Zwróćmy tu choćby uwagę na scenę ucieczki dowódcy „białych" generała Pokrowskiego czy niezbyt udaną scenę finałową. Dobrze, że poprzedza ją znakomita sekwencja odporu ataku kozackiej sotni na tabor bezbronnych chłopów, ona stanowi chyba finał zasadniczy, mówi najwięcej o głównej idei filmu.

## O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Jedną z ulubionych odmian komedii jest w Ameryce tzw. „komedia rodzinna". Pełna cnót filmowa amerykańska rodzina pokazywana była już na naszych ekranach wielokrotnie, a najczęściej z Doris Day w roli głównej we wszystkich możliwych wersjach czarującej i pozbawionej większych kłopotów rodzinnych małżonki.

W „DROGIEJ BRIGITTE" nie oglądamy tym razem Doris Day, ale mamy za to Jamesa Stewarta, no i oczywiście Brigitte Bardot w roli własnej. Znużeni co nieco wdziękiem Doris z niemałą uciechą odnajdujemy w Stewarcie bohatera owej jeszcze jednej rodzinnej komedii. Tym razem J. Stewart to dobroduszny i równie roztargniony profesor literatury i poeta, który poszukując w swych dzieciach talentów artystycznych ze zgrozą odkrywa, że jego mały synek jest geniuszem matematycznym, pokonującym bez trudu najwymyślniejsze maszyny liczące. Zrozpaczony tata odetchnie dopiero wtedy, gdy dowie się, że synek uwielbia Bardotkę i pisuje do niej codziennie listy.

Przyznać trzeba, że ten dobry komediowy pomysł znalazł w filmie świetnych wykonawców. Poza znakomitym, jeszcze raz swój wszechstrony talent potwierdzającym Stewartem, jak zwykle w hollywoodzkim filmie mamy tu całą galerię dobrych postaci i dobrych aktorów. Humor sytuacyjny i dowcipny dialog podany w bardzo dobrym dubbingu czynią z „Drogiej Brigitte" miłą zabawę. A dochodzi przecież jeszcze B. B., która mówi sama za siebie, nic tu dodać, nic tu ująć. A świat amerykańskiej komedii jest zawsze tak piękny i beztroski, że stanowi ona relaksik, który trzeba sobie od czasu do czasu aplikować.

EWA NURCZYNSKA

# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

*Edward Munch: „Rozstanie", (1896)*

### PARYSKA WYSTAWA MUNCHA

Po wystawach w NRF, o czym wspominaliśmy na tym miejscu, grafika norweskiego artysty Edwarda Muncha, pokazana została w paryskim Muzeum Sztuki Dekoracyjnej. Jest to pierwsza wystawa Muncha w Paryżu od lat siedemnastu. W związku z tym prasa francuska przypomina sylwetkę wybitnego, nieżyjącego od 25 lat, artysty.

Edward Munch był synem lekarza, który praktykował głównie wśród biedoty. Ojciec zabierał go często z sobą i Edward wielokrotnie stykał się z przerażającą nędzą, chorobami i ludzkim nieszczęściem. Jego samego los też nie oszczędza. Bardzo boleśnie przeżywa w dzieciństwie najpierw śmierć matki, potem swych dwóch sióstr. Mając lat 45 popada w kryzys nerwowy i leczony jest w klinice kopenhaskiej. Nie dziwi nas więc, że obsesyjną tematyką twórczości Muncha stają się obrazy śmierci, chorób, tragicznych kochanków, dramatycznych rozstań, biedy i nędzy. Powiedział kiedyś: „Nie będzie się więcej malowało wnętrz, czytających ludzi, kobiet z robótką w ręku. Należy malować istoty żywe, które cierpią i które kochają. Ludzie powinni zrozumieć że jest w tym świętość i wielkość, i będą zdejmować nakrycia głowy jak w kościele".

Leczony w klinice w Kopenhadze, Munch wrócił powoli do równowagi psychicznej i swej twórczości. Uwolniony od obsesji nieszczęść i tragedii zaczął tworzyć dzieła pełne spokoju, radości życia i słońca, ale całkiem mierne artystycznie.

Edward Munch zmarł w wieku lat 81 w roku 1944.

*Edward Munch: „Samotni", (1899).*

### WDOWA PO MOTYLU

Treść libretta opery buffo „Wdowa po motylu" zaczerpnięta jest z chińskiej bajki z XVI wieku. Oto mandaryn Czuang-tse, terroryzowany przez swą małżonkę, śni że jest motylem i radośnie pędzi samotny żywot. Niestety wraca do rzeczywistości obudzony wrzaskami kłótliwej żony. Aby mieć jednak trochę spokoju Czuang-tse udaje zmarłego, a zauważywszy że rzekoma wdowa rozpoczyna flirt z jednym z żałobników, czeka, aż przyłapie kochanków na gorącym uczynku. Kiedy jednak domniemana wdowa chce użyć mózgu swego rzekomo zmarłego małżonka dla magicznych praktyk, mających na celu uleczenie jej nagle zachorzałego zalotnika, wtedy mandaryn Czuang-tse opuszcza trumnę i przepędza na cztery wiatry żonę i jej wielbiciela. Jest teraz już rzeczywiście wolny jak motyl.

Tę komiczną operę napisał koreański kompozytor Isang Yun do tekstu Haralda Kunza. I nic nie byłoby w tym znów tak bardzo dziwnego, gdyby nie to, że najweselszy swój utwór, stworzył chory na serce Yun, na podłodze pustej więziennej celi w Seulu.

Kilka tygodni temu władze południowokoreańskie wypuściły na wolność kompozytora, który w roku 1967 wraz ze swymi szesnastoma rodakami został porwany z NRF, a posądzony o działalność szpiegowską, skazany na wieloletnie więzienie.

Opera buffo pt. „Wdowa po motylu" została niedawno wystawiona w norymberskiej operze i uznana przez krytykę muzyczną za wydarzenie artystyczne pierwszorzędnej wagi.

Kim jest 51-letni Isang Yun? Urodził się jako syn koreańskiego pisarza. Po ukończeniu studiów handlowych uczy się w japońskim mieście Osaka gry na wiolonczeli, a później już w ojczystym Seulu kształci się muzycznie. W roku 1956 otrzymuje za swe kameralne utwory muzyczne nagro

*Scena z opery Yuna „Wdowa po motylu".*

dę miasta Seulu. Wyjeżdża do Europy, gdzie studiuje w paryskim konserwatorium, a następnie w berlińskiej muzycznej szkole wyższej. Wkrótce zdobywa szerokie uznanie jako wybitny kompozytor. Jego utwory wykonywane są w Bostonie i Lugano, w Helsinkach i Sydney, grane są na „Festiwalu Holenderskim" i podczas „Warszawskiej Jesieni".

Yun w swej twórczości kompozytorskiej łączy elementy muzyki Wschodu i muzyki europejskiej i chce jak to sam obrazowo określił „utkać nowoczesny kobierzec z delikatnych jedwabnych nici staro-koreańskiej tradycji łącznie z nową techniką muzyki europejskiej".

### NIEROZWIĄZANA ZAGADKA

Trzy powieści Bruno Travena zostały przeniesione na ekran: „Skarb Sierra Madre", „Barka umarłych" i „Most w lesie". Kim jednak jest Bruno Traven? Nikt tego nie wie. Wydawcy powieści Travena znają jedynie jego przedstawiciela o nazwisku Crowcs. A może, jak niektórzy sądzą, Travenem był zmarły w Meksyku pisarz Berick Torsvan?

Traven napisał piętnaście powieści. Ale kim jest lub był, nadal pozostaje tajemnicą.

### KRADZIEŻE OBRAZÓW

Ostatnio w Londynie i w Paryżu skradziono kilkadziesiąt cennych obrazów z prywatnych kolekcji. Pastwą kradzieży padły dzieła m. in. takich wybitnych malarzy jak Braque, Chagall, Dufy, Modigliani, Utrillo i Picasso. Istnieje podejrzenie, że kradzieży dokonuje jakaś szajka międzynarodowa.

### ZMARŁ AUTOR „CLOCHEMERLE"

W wieku lat 73 zmarł autor słynnej książki, spopularyzowanej ogromnie przez jej ekranizację, Gabriel Chevallier. Jego zdrowie uległo poważnemu nadszarpnięciu po wypadku samochodowym pięć lat temu. Od tej chwili nękany chorobami, zamieszkał w Cannes, nie wracając już do zdrowia.

Chevallier pochodził z Lyonu. Studiował sztuki piękne, pełnił różne zawody, m. in. był komiwojażerem. Napisał kilka książek, z których pierwszą była powieść pt. „La guerre" (Wojna), ale tą która przyniosła mu prawdziwą sławę była „Clochemerle", historia zabawnego zdarzenia w wyimaginowanym miasteczku. Książka ukazała się w roku 1943 i osiągnęła do dziś nakład dwóch milionów osiem set tysięcy egzemplarzy. Ta wartko i dowcipnie napisana powieść była satyrą na mało miasteczkową kołtunerię i jej obłudę.

### CHARLES TRENET

„Mój powrót na wielką scenę Paryża jest przygodą, o którą warto było się pokusić" — powiedział Charles Trenet, który od trzech lat

nie spotykał się z francuską publicznością.

Słynny piosenkarz, który ma już za sobą trzydzieści lat pracy artystycznej urządził obecny swój recital na scenie Théâtre de la Ville, zdobywając aplauz publiczności lirycznо-sentymentalnymi piosenkami z lat trzydziestych.

**W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW" m. innymi:**

- **Prof. Bohdan Baranowski pisze jaki był prawdziwy pan Wołodyjowski i jego umiłowana Basia,**
- **Kazimierz Bryński przypomina Bolesława Czerwieńskiego, poetę święta 1 Maja,**
- **Czytelnik — istota nieznana? (wyznania T. Chróścielewskiego, J. Huszczy, W. Jażdżyńskiego, L. Gomolickiego i Wł. Rymkiewicza),**
- **Rozwiązanie konkursu świątecznego oraz ogłoszenie wyników plebiscytu na „Łodzianina 1968 r.".**

# Od niedzieli do niedzieli

## TRZYDNIÓWKA REGIONALNA

ETNOGRAFICZNE NIEPOROZUMIENIA — JAK AUTENTYK TO AUTENTYK! — ŻYWE WRÓBLE NA SCENIE — KIEŁBASA NA WESELU — KIERDZIOŁEK TO NIE FOLKLOR

Trzy dni w centrum Łodzi trwało folklorystyczne widowisko — finały Konkursu Ziemi Łódzkiej, już ósma tego rodzaju impreza, ale też największa, najbogatsza z dotychczasowych. „Folklor znika? — dr Dekowski uśmiecha się — o nie! Folklor się zmienia, przeobraża, ale nie znika". Ponad pół tysiąca uczestników przewinęło się przez estradę Łódzkiego Domu Kultury i nie było to tylko widowisko w wykonaniu starszych, hołubiących wspomnienia młodości, owe tańce i przyśpiewki, zwyczaje i obrzędy... W konkursie brali udział także młodzi, bo właśnie dzięki takim imprezom młodzież nabiera szacunku do obyczaju przodków, zaczyna patrzeć inaczej na kulturę duchową wsi.

Trzy dni trwało nieprzerwane, barwne widowisko — ale ile miesięcy trwały przygotowania? Bo to nie takie proste. Chodziło przecież nie tylko o widowiskowość, lecz o autentyk, o to, żeby naukowcy z Muzeum Etnograficznego zdobyli nowy, nieznany materiał badawczy — teksty, melodie, obrzędy... Wędrowali więc etnografowie po wsiach — rejestrowali na taśmie magnetofonowej, wyjaśniali „etnograficzne" nieporozumienia.

Bez tej fachowej kontroli mielibyśmy w Łodzi nie Konkurs Folklorystyczny Ziemi Łódzkiej lecz koktejl z całego kraju, bez ładu i składu. Weźmy taki przykład. Jest w Gałkówku pieśniarka ludowa o bogatym repertuarze. Zgłasza jedną, drugą, trzecią piosenkę — laik zanotuje je jako folklor miejscowy. I błąd! Bo przecież ta starsza już kobieta nie żyła cały czas w Gałkówku — jej piosenki wyznaczają niejako geografię jej podróży — rodziny, znajomych, do szkół... Stamtąd przywoziła piosenki — są to piosenki z jej repertuaru, ale nie miejscowe.

Trzeba zatem etnografa, aby umiał to dostrzec i ustalić co jest nabyte, a co własne — miejscowe.

Kiedyś sprawa była prosta. Ludzie nie wędrowali tak jak dzisiaj — elementy folkloru nie przenikały się wzajemnie, nie mieszały się — były statyczne, niejako osiadłe. Największe niebezpieczeństwo fałszowania folkloru tkwi chyba w zespołach regionalnych, często występujących przed publicznością, a więc dbających o widowiskowość programu. Widzieliśmy kiedyś taki zespół w Teatrze Wielkim, W widowisku weselnym niesiono na drągu wielki wieniec z wstęgami. Ładne to było, tylko... obrzęd rawski czy łowicki w ogóle nie zna takiego zwyczaju — tego nigdy u nas na Ziemi Łódzkiej nie bywało.

Naczelną więc sprawą w wypadku zespołów regionalnych jest fachowy instruktor, który zna się na rzeczy, jest w równym stopniu etnografem co muzykiem i reżyserem. Niestety niewielu jest takich instruktorów jak Zbigniew Hauke, który zbiera materiały folklorystyczne, potrafi je ocenić, i nie robi nigdy bomby śmiechu i grochu z kapustą. A przecież bywa i tak, że instruktorlaik każe chłopakom nieść tzw. gaik, choć to w obrzędzie ludowym domena dziewcząt; że z krukiem po dynguse każe chodzić dziewczętom choć to dla odmiany od wieczna domena mężczyzn... Etnograf musi to wszystko wychwycić, wyeliminować wynikające z nieznajomości rzeczy pomysły reżyserskie, fałszujące folklor, musi oczyścić repertuar z naleciałości. Dopiero wówczas może rozpocząć się widowisko o nazwie Konkurs Folklorystyczny Ziemi Łódzkiej.

Nic więc dziwnego, że na owe trzy barwne, rozśpiewane i roztańczone dni przypadały długie miesiące konsultacji i przygotowań. I dopiero ta wspólna praca — etnografów i artystów ludowych mogła nadać łódzkiemu przeglądowi pełny, wartościowy kształt.

Organizatorom szło głównie o wydobycie materiałów nowych, nieskażonych, o ocalenie od zapomnienia zabytków ludowego folkloru, o autentyczność. Owa autentyczność była naczelnym hasłem tej żmudnej pracy. Dochodziło więc do sytuacji zabawnych. Jak autentyk to autentyk! Gospodynie inscenizujące ludowy obrzęd darcia pierza przywoziły je ze sobą i na scenie darcie szło aż miło. Jest tradycja, że mężczyzn przychodzących na owe pierzawki wita się wypuszczanym z ukrycia żywym ptakiem. Przywieziono zatem i żywe wróble, które trzepotały się po scenie. Na widowiska weselne artyści przytaszczyli ze sobą pokaźne zapasy kiełbas, ciast i wszelkie inne nieodzowne „artykuły powszechnego użytku".

Ale były i momenty autentycznej grozy. Włos się zjeżył etnografom, kiedy pewien zespół wystąpił w tańcu kosiarzy z prawdziwymi, ostrymi kosami. Wirowały kosy w tańcu mijając o centymetry głowy artystów a jurorzy kulili się w fotelach. No bo gdyby tak któraś kosa się wymknęła się z rąk i poszybowała na widownię? Ale wszystko skończyło się szczęśliwie.

Nieco słabiej wypadli gawędziarze — radiowo-telewizyjne wzorce Jerzego Oferskiego i Wincentego Kaźmierczaka wyraźnie zaciążyły na autentyzmie ludowych gadek. Oczywiście lubimy słuchać o wydarzeniach w Chłapkowicach i Kiernozi — ale tak się owe monologi mają do folkloru jak Cepelia do sztuki ludowej.

W sumie jednak impreza była udana i wielomiesięczny trud przygotowań i konsultacji owocował naprawdę autentycznym barwnym, nie stylizowanym widowiskiem. „Zdobyliśmy nowe materiały folklorystyczne — mówi mgr Violetta Krawczyk — szykujemy już dwie publikacje naukowe i popularyzatorskie z tego kręgu". Ukaże się za tem w Wydawnictwie Łódzkim „Folklor Ziemi Łódzkiej" — rzecz przeznaczona raczej dla tzw. terenu, dla zespołów i instruktorów — orientująca w podstawowym „stanie posiadania" folklorystycznego naszych regionów. Szczegółowe prace badawcze natomiast opublikowane zostaną w 14 tomie serii etnograficznej wydanym przez Muzeum w końcu bieżącego roku.

Można więc powiedzieć, że udał się nam ten Konkurs, który służy nie tylko naukowcom, ale także uczy sentymentu do starych zwyczajów i pieśni, wyzwala regionalne patriotyzmy i szacunek dla duchowej kultury i obyczaju polskiej wsi.

JERZY WIDOK

# Bez strachu

### MOI KOCHANI MARSJANIE!

Założywszy, że Wy jesteście i że My jesteśmy i że zetknięcie się kiedyś z Nami, lub z tym co zostanie po nas, warto może zanotować kilka uwag i sądów jako dokument ludzkiej refleksji, jako drogowskaz dla Was na drodze rozumienia człowieka. Człowiek jest wieloraki — na cmentarzu jest bryłką mięsa, na katedrze jest mędrcem, na pulpicie dyrygenta jest panem, a zarazem sługą muzyki. Najstarszą, najbardziej powszechną sprawą człowieka jest muzyka, jest ona znacznie silniejsza od instynktu głodu, od instynktu płciowego, od woli życia i od lęku przed śmiercią. Człowiek żyje i umiera w muzyce ale w istocie nie wie czym ona jest — nie wierzcie w definicje muzykologów — oni żyją w muzyce w mniejszym stopniu niż inni ludzie. Zamiast zatem szperać po księgach muzykologów poszukajcie raczej tego co pozostało po jednym z nas — człowieku, który nazywał się Jan Sebastian Bach i postarajcie się to odtworzyć, wtedy może pojmiecie muzykę. Inną siłą, w której żyje człowiek, jest literatura — słowo oderwane od codziennego użytku, słowo zadziwione sobą, dźwiękiem i życiem i dźwiękiem życia. Przestrzegam Was przed tak zwanym literaturoznawstwem, przed tyranią filologii — poszukajcie tego co zostało po dwóch ludziach — jeden nazywał się Szekspir, drugi Dostojewski — postarajcie się ich przeczytać, wystawić, pojąć — to Oni, a nie Filologowie powiedzą czym jest literatura. Zdaję sobie sprawę, że prawdopodobieństwo odczytania przez Was tych słów nie jest większe od prawdopodobieństwa zderzenia się dwóch szpilek krążących w kosmosie, ale pisanie to uważam za swój obowiązek, chcę Was przestrzec przed hordą rozwydrzonych muzykologów i filologów — moja nienawiść do nich przetrwa moje istnienie. Użyłem słowa nienawiść, my ludzie żywimy nienawiść do tych, których pragnęliśmy kochać i którzy nas odrzucili. Mnie osobiście — człowieka piszącego książki — odrzucili Filologowie, Krytycy oraz inne demony tego rodzaju. Kochałem ich gorąco — pisałem nawet dla nich, ale Oni mnie w ogóle nie dostrzegli i dlatego muszę ich nienawidzieć, inaczej nie mógłbym żyć — poniósłbym śmierć. Śmierć jest stanem, w którym człowiek nie doświadcza w sposób zupełny ani miłości, ani nienawiści. Ludzie pragną żyć — dlatego kochają i nienawidzą — Ci, którzy nie doświadczają tych uczuć są już martwi nawet jeżeli jeszcze ich nie pogrzebano, nawet jeżeli są jeszcze zdolni do wykonywania niektórych ruchów. Ludzie rozumieją się znakomicie jako gromady, oddziały tłumy — natomiast bardzo mało wiedzą o sobie, jako o jednostkach. Człowiek kocha, nienawidzi, pożąda, doświadcza głodu, człowiek gra i pisze. Człowiek to ciało — część jego fizyczna i psychika, część zamknięta niekiedy tylko ujawniana, odgadywana. Podobno człowiek nie kończy się z powierzchnią skóry, wydziela pewne promieniowania, może sobie przy odpowiednim skupieniu przekazywać myśli i uczucia na odległość bez pomocy przyrządów technicznych. Człowiek jest samotny w gromadzie, a zarazem nie istnieje poza gromadą. Człowiek jest szczęśliwy, przerażony i odważny, człowiek — to ja.

BERNARD SZTAJNERT

J. D. CARR

# GOŚCIE

Goście którzy nie zamierzali nocować w willi, odeszli około północy. Marek Hunt odprowadził ich do bramy ogrodu i wrócił do jadalni.

— Jeszcze jedna partyjka pokera? — proponował Rolfe.

— Nie warto — odpowiedział Derek Henderson. — Jest nas tylko trzech.

Hunt obserwował gości. Obszerną jadalnię rozjaśniały wielkie kandelabry. W ich świetle można było podziwiać dwa Rembrandty i Van Dycka na ścianie wiejskiej willi. Dla Artura Rolfe, handlarza sztuki — myślał Hunt — te obrazy przedstawiały sumę mogącą przyprawić człowieka o zawrót głowy. Dla Hendersona, krytyka dzieł sztuki, stanowiły zapewne problem.

Derek zaczął tasować karty. — Przyjacielu, rzekł Hunt — zadziwiasz mnie.

— Dlaczego?

— Dziwię się, że interesuje pana coś tak wybitnie mieszczańskiego, jak poker.

— Zabawiam się w odgadywanie charakteru ludzi, a poker doskonale się do tego nadaje.

— Ach, tak? — Hunt zainteresował się. — A co pan powie o mnie?

Henderson wpatrywał się w rozłożone karty. — Czy mogę mówić szczerze? Myślałem o panu zawsze jako o śmiałku gotowym na wszystko. Tymczasem wcale tak nie jest.

Hunt roześmiał się, lecz to nie speszyło krytyka.

— Inną niespodzianką jest dla mnie pan Rolfe. Widzę w nim człowieka, który w sprzyjających okolicznościach mógłby zaryzykować właśnie wszystko.

Rolfe wyglądał na zakłopotanego. — Mam co do tego wątpliwości — rzekł z powagą. — W moim zawodzie człowiek, który ryzykuje, szybko popadnie w tarapaty. W każdym razie ja na miejscu pana Hunta byłbym na tyle ostrożny, aby nie trzymać trzech bezcennych obrazów w parterowej sali, której okna i drzwi wychodzą na taras, a wokoło domu rozciągają się lasy Kentu.

— Do diabła! — wykrzyknął nagle Henderson.

Hunt poderwał się zaniepokojony. Przed chwilą zaczął obierać jabłko nożykiem od owoców. — O mało nie skaleczyłem ręki. Co się stało?

— Po raz drugi w ciągu pięciu minut odkrywam asa pikowego — wyjaśnił zdenerwowany Henderson.

— Zdaje się, że nasz przyjaciel, zwykle tak spokojny, zaczyna tracić równowagę — żartował Hunt. — Czy pan odgaduje charaktery czy przepowiada po prostu losy?

Henderson zawahał się. Spojrzał na Hunta a potem przeniósł wzrok na obraz Rembrandta „Staruszka w czepku". Na koniec zwrócił się w kierunku drzwi, które otwierały się na taras.

— Właściwie to nie moja sprawa, dom i kolekcja należą do pana — i pan za wszystko odpowiada. Ale ten jakiś Cutler, który przyjechał tu wczoraj, nie podoba mi się. Co pan o nim wie?

— Cutler? To jest przyjaciel mojej siostrzenicy. Harriet poznała go w Londynie i chciała, abym go do siebie zaprosił. Czy można wiedzieć co panu strzeliło do głowy?

— Słuchajcie! — krzyknął nagle Rolfe wznosząc rękę do góry. Lecz hałas, który posłyszeli od strony ogrodu, nie powtórzył się. Osoba, która go wywołała, dziewczyna w białej sukni, pobiegła na drugi koniec tarasu i oparła się o balustradę. Leon Cutler zawahał się, czy iść za dziewczyną. Harriet przywołała go jednak. Czarne jej oczy błyszczały w świetle księżyca. Oddychała szybko.

— To jest kłamstwo — powiedziała.

— Co takiego?

— To, co powiedział wuj Marek. Słyszał pan przecież dobrze. Mówił, że znam pana. I że pana tu zaprosiłam. Przedtem nigdy pana nie widziałam, albo wujek zwariował, albo... Czy pan mi odpowie szczerze na moje pytanie?

— Jeżeli będę mógł.

— Dobrze. Czy pan przypadkiem nie jest oszustem?

Cutler czuł, że jeżeli się roześmieje, to dziewczyna go spoliczkuje.

— Jeżeli mam być absolutnie szczery, to muszę przyznać, że nie jestem oszustem. Proszę mi teraz wyjaśnić, skąd to pytanie?

— Od kilku dni dzieją się tu niezrozumiałe dla mnie rzeczy. Ten dom — wyjaśniała Harriet — zawsze chroniły sygnały alarmowe. Jeżeli ktoś dotknął okna, cała willa zaczynała dzwonić jak wozy strażackie pędzące do pożaru. W zeszłym tygodniu wuj kazał zdjąć wszystkie dzwonki alarmowe. Obrazy wisiały dawniej na górze w pokoju przylegającym do jego sypialni. W zeszłym tygodniu kazał je przenieść na parter. Wszystko tak wygląda, jakby wuj pragnął, aby go okradziono.

Cutler zrozumiał, że musi zachowywać się z najwyższym taktem.

— Może i tak jest. Przypuśćmy, że jeden z jego słynnych Rembrandtów okazał się tylko kopią. Byłoby dla pana Hunta wielką ulgą, gdyby nie musiał jej pokazywać jakiemuś przyjacielowi, znawcy sztuki.

Dziewczyna potrząsnęła głową. — Tak nie jest. Wszystkie obrazy są autentyczne. Wie pan, ja też tak myślałam.

Cutlerowi problem nie wydawał się zbyt skomplikowany.

— Niech pani posłucha, panno Davis. Mógłbym pani opowiedzieć o różnych przypadkach gdy niektóre osoby pragnęły, aby ulotniła się ich własność. Jeżeli obraz jest ubezpieczony powyżej jego wartości i pewnej, pięknej nocy zostanie „skradziony"...

— To wyjaśnienie byłoby bardzo logiczne — rzekła spokojnie Harriet. — Niestety, żaden z tych obrazów nie był nigdy ubezpieczony. Wujek mówi że asekuracja — to wyrzucone przez okno pieniądze.

— Lecz...

— O wiem, wiem! Właściwie niepotrzebnie opowiadam panu to wszystko. Jest pan przecież dla mnie człowiekiem nieznanym i obcym.

Z jej oczu wyzierała niepewność, lęk i zdenerwowanie.

— Lecz teraz i wuj Marek jest jakby ktoś obcy. Zachowuje się dziwnie i nienaturalnie. A przecież jest to człowiek, który nie znosi fałszu. Niech mi pan wierzy, uczyniłby wszystko, aby zdemaskować obłudę. A więc, jeżeli nie stracił zupełnie rozumu, co może mieć na myśli?

Dowiedzieli się o tym w trzy godziny później.

Złodziej zaczął pracować o drugiej nad ranem. Był w ogrodzie już wcześniej, wypalił mnóstwo papierosów w krzakach poniżej tarasu. Gdy usłyszał bicie zegara na wieży, poczekał chwilę, następnie zbliżył się do oszklonych drzwi jadalni. Ostatnie promienie księżyca oświetlały jego zmienioną twarz i czarną maskę, pod beretem głęboko wsuniętym na uszy. Ze skórzanej torby wyjął narzędzia, przeciął diamentem szybę przy klamce. Otworzył drzwi. Wyciągnął elektryczną lampkę. Promień światła zatańczył najpierw ponad kredensem, potem oświetlił srebrną czarę z owocami i nożyk zagłębiony w jabłku. Zatrzymał się dłużej nad wizerunkiem „Staruszki w czepku".

Obraz nie był dużych rozmiarów. Złodziej zdjął go ze ściany, usunął szkło i ramy, zwinął płótno. Był tak przejęty, że nie zauważył drugiej osoby w sali jadalnej.

Śpiący na piętrze Leon Cutler obudził się nagle. W uszach brzmiał mu jeszcze huk jakby spadających na podłogę metalowych przedmiotów. Prawie rozumiał, co się stało. Uporał się ze szlafrokiem i chwycił latarkę.

Wydawało się, że hałas nie zbudził innych osób. Cutler, nie zapalając latarki, biegł szybko po schodach. Puszysty dywan tłumił odgłos jego kroków. Na parterze Cutler poczuł silny prąd powietrza. Był to znak, że ktoś otworzył okno lub drzwi. Skierował się wprost do jadalni.

Lecz przybył już za późno

Zapalił wszystkie światła. Złodziej był jeszcze, lecz leżał nieruchomy obok kredensu. Sądząc z ilości krwi, którą nasiąkły jego spodnie i sweter, widać było, że się już nie podniesie.

— Stało się — powiedział głośno Cutler.

Srebrny komplet do herbaty i owoców był zrzucony na podłogę. Walały się rozsypane pomarańcze, jabłka, pogniecione winogrona. Twarz złodzieja pokrywała maska i mocno zsunięty na czoło beret. Pod ciałem leżało zwinięte płótno Rembrandta, obok pokrwawiony nóż do owoców. Dłonie w rękawiczkach były bezwładne.

— Co się stało? — zapytał jakiś przytłumiony głos.

Cutler drgnął, jakby mu kto nożem przejechał po nogach. Nie słyszał jak nadeszła Harriet. Teraz stała za jego plecami, owinięta w japońskie kimono, z rozpuszczonymi czarnymi włosami. Gdy jej wyjaśnił, co zaszło, dziewczyna cofnęła się przerażona, gotowa do ucieczki.

— Dobrze byłoby, gdyby pani zawołała wuja — rozkazał Cutler. A także służących. Ja tymczasem skorzystam z telefonu. — Potem spojrzał w jej pytające oczy. — Tak, pani zgadła. Jestem funkcjonariuszem policji.

Skinęła głową. — Tak sobie wyobrażałam. Kim pan jest? Czy pan nazywa się naprawdę Cutler?

— Nazywam się Cutler. Jestem sierżantem policji. To pani wuj postarał się, abym tu przybył.

— Dlaczego?

— Nie, wiem, jeszcze mi tego nie wyjaśnił.

— Dlaczego pana tu przysłano, jeżeli on nie powiedział do czego był mu potrzebny policjant.

Cutler chwilę milczał. — Muszę natychmiast pomówić z pani wujem. Czy nie zechciałby pani go obudzić?

— Wuja Marka nie ma w pokoju. Pukałam do jego drzwi przed zejściem na dół. Gdzieś zniknął.

Cutler rzucił się ku schodom. Istotnie — pokój Hunta był pusty. Marynarka wisiała na poręczy krzesła, kosztula była rozłożona na siedzeniu, na niej kołnierzyk i krawat. Hunt nie położył się jeszcze, łóżko było nietknięte.

Podejrzenie, które zrodziło się w umyśle Cutlera było tak absurdalne, że młodzieniec nie miał odwagi w nie uwierzyć.

Wracając na parter natknął się w korytarzu na Artura Rolfe, który wychodził ze swego pokoju sypialnego. Ciało kupca okrywał flanelowy szlafrok. Rolfe był bez okularów, co nadawało jego twarzy wyraz zmieszania i niepewności. Zastąpił drogę Cutlerowi zdecydowany nie ruszyć się dalej.

— Tak — uciął krótko policjant. — Nie potrzebuje pan pytać. To był złodziej.

— Byłem tego pewny — zawyrokował spokojnie Rolfe. — Musiało się tak skończyć. Czy udało mu się coś zabrać?

— Nie. Został zamordowany.

Przez chwilę Rolfe nic nie mówił. Jego ręka wsunęła się pod kołnierz szlafroka, jakby dla uśmierzenia nagłego bólu.

— Zamordowany? Mówi pan, że złodziej został zamordowany?

— Tak.

— Ale dlaczego? Może przez wspólnika? A kim jest ten złodziej?

— Właśnie mam zamiar to zbadać.

Zszedłszy na parter policjant znów spotkał Harriet Davis, która stała nieruchomo na progu jadalni i patrzyła odważnie na trupa wyciągniętego przed kredensem. Żaden muskuł nie drgał jej na twarzy, lecz oczy miała pełne łez.

— Chce pan zdjąć mu maskę, prawda? — zapytała nie odwracając głowy.

— Muszę to zrobić — szepnął cicho Cutler.

Posuwając się ostrożnie aby ominąć pogniecione owoce, odłamki szkła i rozlaną krew, Cutler pochylił się nad zmarłym. Odsunął do tyłu brudny beret, zdjął czarne sukno maski, umocowanej niezręcznie przy pomocy elastyku — i odkrył to, czego się spodziewał.

(Dokończenie w następnym numerze)

## Lewym okiem

### ZACZYNAMY ISKRZYĆ!

*Śmiałkowie z całego świata podejmują najróżniejsze próby, dokonują najdziwniejszych wyczynów, aby własnym przykładem dowieść, że...*

*Różnych rzeczy mają dowieść wyczyny śmiałków. Jest chyba trochę racji w tym, że głównym celem ryzykownych pomysłów jest po prostu chęć rozgłosu za wszelką cenę, zasłużenia na zdjęcie w prasie, na wywiad w telewizji i tomik wspomnień w serii przygodowej. Ale żyjemy w wieku racjonalnego myślenia. Dobrze jest własnemu dążeniu do sławy dosztukować ważne zadanie, nadać rangę eksperymentu naukowego o wielkim znaczeniu dla ludzkości. Nie ma w tym zresztą nic złego, tym bardziej że rzeczywiście nie ma takiego faktu, z którego nie można by wyciągnąć wniosków, ważnych dla całego szeregu faktów analogicznych.*

*Więc na przykład ktoś siada w maleńką łódkę i krąży w niej po morzu przez parę tygodni żywiąc się planktonem, popijanym morską wodą. Wszystkie rekordy pobite, sława rozbitka murowana, a jednocześnie eksperyment: jak długo tak można, jak się zachowywać, żeby wytrzymać jak najdłużej? Gwoli eksperymentu rozbitek oczywiście mierzył sobie co dzień temperaturę, ciśnienie i opad. Specjaliści mają co analizować i opisywać w prasie, a sam bohater — w kolorowych magazynach dla młodzieży.*

*Ktoś inny nie wychodzi przez dwa miesiące z czarnej, źle wietrzonej jaskini, głębokiej jak nie wiem co. Jeszcze inny spuszcza się w specjalnej beczce na dno morza i siedzi tam bardzo długo, a z jego psycholizycznych parametrów wyciąga się wnioski na przykład co do możliwości pracy nurków pod wodą.*

*W Londynie odbyły się przed paroma laty zawody studenckie — która drużyna zmieści więcej swych członków w znormalizowanej budce automatu telefonicznego. Tym drużynom też można by przypisać zadanie naukowe: eksperymentalne zbadanie granic pojemności tramwaju i widowni podczas występu Beatlesów; zachowanie się osobnika w tłoku; metody dopychania i sztauerki żywych i pragnących zostać przy życiu organizmów.*

*Przepraszam za żart. Rola eksperymentu jest zawsze ogromna, właśnie eksperyment stanowi najwyższy sprawdzian słuszności przewidywań, obliczeń, norm i przepisów. Czasem zdarzają się co prawda wypadki posunięcia się zbyt daleko w eksperymentowaniu. Można by wiele powiedzieć w obronie małżeństw na próbę. Trudniej — w obronie siedzenia na próbę w areszcie. Taki egzamin proponują podobno jacyś Francuzi w liście do redakcji pewnego paryskiego pisma: skoro tak łatwo dostać się do ciupy, to umiejmy się w niej zachować! Przeprowadźmy odpowiednie próby, kursy, kolokwia!*

*A znów czasem — i jest to zjawisko ogromnie niepokojące — wydaje się, że nie eksperymentowano wcale lub za mało. Niedawno zbuntowały się studentki pewnego angielskiego kolegium, nie chcąc słuchać wykładów w nowej sali. Okazało się bowiem, że krzesła w tej sali wyścielane są masą plastyczną, która przez potarcie z tworzywem, z którego zrobione są... majteczki studentek — iskrzy! Ładna historia, co? A trzeba było przedtem pocierać eksperymentalnie, trzeba było sprawdzać!*

*Zawsze się znajdzie ktoś, kto wlezie zimą na topolę żeby sprawdzić, jak długo można wytrzymać oblężenie przez stado wilków. Nie szkodzi, że wilków już nie ma. Natomiast nie znajdzie się nikt, żeby gruntownie i wszechstronnie przebadać nowe tworzywa i metody, stosowane do przedmiotów codziennego użytku. Potem buty nas parzą, naczynia zmieniają smak potraw, ubrania dostają plam od samego patrzenia.*

*I w dodatku — zaczynamy iskrzyć! W najmniej odpowiednich momentach!*

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (red. naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Halina Bekowa (red. techniczny), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska. Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 858. IV. B-8.